№ 9. Warszawa, dnia 1 Marca (18 Lutego) 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

MOTYL WIOSENNY.

Gdy zima osłabnie, słońce nieco przygrzeje, zaczynają w prasie szybko lądz się wiosenne motyle polityczne, kilkudniowe nieraz pogłoski o nowych „chmurach" lub „konstelacyach," któremi karmi się wiecznie głodna takich wrażeń publiczność. Dotąd musiała ona spożywać mdłe wiadomości z Sudanu, które jej bezpośrednio nie obchodzą. Tymczasem słońce grzeje coraz bardziej, na drzewach pączki. a w powietrzu wiosna i — motyle już po dziennikach fruwają. Najruchliwiej z nich uwija się jeden: sojusz niemiecko-rosyjski. Przyznajmy, że bujna zwykle wyobraźnia gazeciarska ma faktycznego materyału dosyć. Naprzód przeniesienie z Paryża do Berlina ks. Orłowa, który uchodzi za osobistość nader mile widzianą przez ks. Bismarka. Jednocześnie rosyjski delegat ks. Dołgoruki udał się do Friedrichsruhe wraz z niemieckim ministrem wojny, co ma znaczyć, że wkrótce z obu stron granicy cofnięte będą wojska dla przecięcia obaw i wzajemnych podejrzeń. Pierwotnie fakty te wyzyskane zostały jako dowody zmartwychwstania trójcesarskiego przymierza. Ale hypotezę tę podważyła książka... Buscha. Mąż to chyba czytelnikom naszym znany. Przed kilku laty wydał on zbiór prawdziwych, czy podrobionych anegdot o ks. Bismarku. Niedawno wystąpił z takimże darem po raz drugi. Gazety niemieckie rzuciły się na tę robotę gniewnie, a wykazawszy. że ona jest w znacznej części dosłownym plagiatem poprzedniej, oskarżyły autora o mizerną spekulacyę, sprzedającą pod świeżym tytułem towar zleżały. Skutkiem zawiązanej z tego powodu polemiki, przeciwnicy rewidując książkę i porównywając z wydaniem dawniejszem, natrafili na kilka szczegółów nowych, które dały im dużo do myślenia. Przedewszystkiem zastanowiła ich podana przez Buscha wiadomość, że ks. Bismark, zanim się rozprawił z Austryą, proponował jej przymierze przeciwko Francyi w sposób zbyt szczery. Ponieważ zaś odsłonięcie przed światem tej tajemnicy nie mogło nastąpić bez jego zgody, a nadto *Nordd. Allg. Ztng.* poniekąd je stwierdziła, prostą więc drogą nasunął się domysł. że „nasz kanclerz" w masce Buscha chciał zaintrygować dotkliwie swoją przyjaciółkę. Nie tak głęboko przebiegają i mniej są zakryte dla oka żyły złote, jak sekrety dyplomatyczne; ku czemu zatem posłużyć miało owo „wspomnienie" — kto zgadnie!

Jeszcze nie zgryziono tego orzecha, kiedy nagle w dziele Buscha ktoś znalazł drugie znaczące słówko. Chwycił je telegraf i natychmiast rozniósł po świecie. Czytajmy depeszę (*Kur. W.*): „Świat dyplomatyczny pochłonięty jest w tej chwili *ważnem* odkryciem. Na stronicy 483 świeżo wydanej książki o ks. Bismarku (*Unser Reichskanzler*) wyraźnie jest powiedzianem, że traktat przymierza zawarty pomiędzy Niemcami i Austryą obowiązuje do grudnia bieżącego roku. *National Ztng.* zapewnia, że takowy (*sic*) do tej chwili nie został odnowionym. Jest rzeczą wielce prawdopodobną, że ostatnie zbliżenie się Niemiec i Rosyi wywrze wpływ na tę sprawę i sprowadzi modyfikacye traktatu, gdyby tenże miał uledz odnowieniu."

Jak widzimy — motyl szybko dojrzał. Ile przyjaźń austro-niemiecka straciła kredytu, tyle niemiecko-rosyjska zyskała. Ruble idą w górę — dzienniki ogłaszają nowe wesele. Co do nas, jeśli nawet ten ślub został zawarty rzeczywiście, nie dziwi on nas więcej, jak każde małżeństwo z rozumu. Starsi czytelnicy nasi może pamiętają, że zawsze wykazywaliśmy wspólność interesów, a przynajmniej interesu między Niemcami i Rosyą oraz znikomość waśniących chwilowo te mocarstwa niesnasek. Chociaż dwa narody się nie lubią, dwa państwa mogą żyć z sobą zgodnie. Pomijając potrzebę sojuszu dla spożycia kromek z jednego ukrajanych bochenka, sam kierunek dążeń politycznych księcia Bismarka musi go przysuwać do mocarstwa, które posiada w sobie najwięcej pierwiastków konserwatywnych. Ani Austrya, ani Hiszpania, a tem mniej Włochy nie przedstawiają dostatecznego pokrewieństwa charakterów państwowych, ażeby kanclerz niemiecki czuł do nich szczerą sympatyę. Wprawdzie, jako polityk „realny," bierze przyjaciół tego gatunku, który znajduje, i poda rękę nawet socyalistom i republikanom, gdy mu będą potrzebni. Ale — dotąd tylko, gdy mu są potrzebni. Ile razy zaś może pogodzić gust z korzyścią, czyni to zawsze. Kto zaś wie, czy dlań Austrya, swoim rosnącym konstytucyonalizmem i decentralizacyą wstrętna, nie stała się zbyteczną? Nie dziwilibyśmy się też, gdyby wziął z nią rozwód i zawarł małżeństwo inne, upodobaniu bardziej odpowiednie. Przed kilku miesiącami jeszcze szeptano w prasie o wojnie rosyjsko-niemieckiej: dla nas jest to ciągle nieprawdopodobieństwem. Granice możliwości są obszerne i taka więc niespodzianka zmieścić się w nich zdoła, ale będzie ona największą niespodzianką w *obecnych* stosunkach politycznych.

Nikt nie zdołał nam jeszcze wytłomaczyć korzyści Niemiec w orężnem starciu z Rosyą. Pomijając wieczny szach ze strony Francyi, co takie starcie niemcom przynieść może? Powiększać swego terytoryum przez zdobycie prowincyi słowiańskiej a więc przez wzmocnienie u siebie pierwiastku opozycyjnego chyba nie pragną, a co do zysków ekonomicznych, *Drang nach Osten* zbyt mocnej tamy nie spotyka, bo nie zagradzają mu drogi ani prawa, ani stosunki społeczne. My, żyjący na krawędzi i wystawieni na pierwszy atak germańskiej

fali, nie posiadamy sił do odparcia jej. To nie Alzacya, którą należało oderwać, ażeby nad nią materyalnie zapanować, to biedny i bezsilny kraj, przeciwko któremu nie trzeba wysyłać korpusu żołnierzy, lecz gromadę przemysłowców i kupców.

Co głowa—to rozum w prasie objaśniającej nowy zwrot operacyj niemieckiego kanclerza. Najczęściej wszakże dobywa ona na wierzch nić powinowactwa. *Gazeta polska*, przytaczając wywody *N. Fr. Presse*, pisze: „Ks. Bismark wszędzie starał się w ostatnich czasach utworzyć ścisłą solidarność między monarchiami i to według dziennika wiedeńskiego było główną przyczyną zbliżenia między Berlinem i Petersburgiem. W tym kierunku podjął się teraz posłannictwa, które niegdyś cesarz Mikołaj i ks. Metternich pospołu spełniali w Europie, i jak przed pięćdziesięciu laty Petersburg i Wiedeń były głównemi ogniskami oporu przeciw dążeniom liberalnym mocarstw zachodnich, tak samo teraz Berlin jest punktem środkowym owej polityki dynastycznej, która wszędzie udziela rad i wskazówek w celu stawiania oporu przeciw niebezpieczeństwom liberalizmu i parlamentaryzmu, spokrewnionego z radykalizmem i anarchią. Wszelako *N. fr. Presse* przyznaje z *Gaz. Kolońską*, że teraźniejsze zbliżenie między Niemcami i Rosyą niezaprzeczenie jest bardzo korzystnem dla utrzymania pokoju europejskiego.“ Pogląd to zupełnie trafny: liga polityczna, którą kanclerz niemiecki z rozmaitych żywiołów lepi, jest zaostrzoną na dwu końcach: jednym zwraca się przeciw niebezpieczeństwom wojny, drugim przeciw niebezpieczeństwom społecznego przewrotu. Pod tym zaś ostatnim względem Rosya jest pomocnicą skuteczniejszą, niż Austrya, bo większą posiada siłę represyjną.

Tak nam się przedstawia ów motyl wiosenny, który tyle rąk dziennikarskich obecnie chwyta.

Waśnie szląskie.

Od czasu do czasu dochodzą nas echa, świadczące o wytrwałej, mrówczej pracy ludu na Szląsku austryackim nad swem narodowem odrodzeniem, a jak teraz odgłosy walk, od których i ten drobny światek nie jest wolny. Europa zapomniała już prawie o tego rodzaju zapasach, kiedy tu na Szląsku antagonizm wyznaniowy występuje dopiero i zaostrza się. Sprawa ta nosi na sobie właściwe nam cechy, przyczyną sporu jest owo nieszczęśliwe utożsamianie katolicyzmu z polskością. Pojmujemy dobrze, że np. w stosunkach pruskich katolicyzm był bronią, którą poznańscy posłowie musieli się posługiwać, że owa taktyka mogła być stosowaną i gdzieindziej, ale w zapale walki nastąpiło takie pomieszanie pojęć, że to, co było środkiem działalności stało się jej celem. Dziś ultramontanizm z powodzeniem używa polskości jako narzędzia i w dążeniach jego gra ona wyraźną, chociaż pomocniczą tylko rolę.

Na Szląsku powtórzyło się to samo i sprawę narodową, która w tamtejszych stosunkach występować powinna zawsze na pierwszy plan, poddano zachciankom klerykalnym. Dodać należy, że brakło ku temu najmniejszego powodu. Ewangelicy, którzy stanowią trzecią część polskiej ludności na Szląsku, objawiają dotąd żywe poczucie narodowe. Oni to przechowali polską mowę w kościele i w domu, oni pierwsi wprowadzili ją do szkoły, kiedy jeszcze katolicy uczyli się i modlili po czesku. Z pomiędzy nich wyszli pierwsi pionierowie odrodzenia i pierwsi pisarze ludowi, a nawet największy ich przeciwnik dzisiaj, redaktor *Gwiazdki cieszyńskiej* Stalmach, który w swoim czasie położył niemało zasługi w sprawie rozbudzenia ruchu narodowego na Szląsku—jest ewangelikiem. Oni wreszcie przyjmują udział we wszystkich stowarzyszeniach polskich w proporcyi daleko większej, niż wynosi liczebny ich stosunek.

Początek sporu datuje się od nieszczęśliwych wyborów do Rady państwa w r. 1879, z których wyszedł kandydat centralistyczny Obratschaj. W tym wypadku obie strony nie są bez winy: ewangelicy — bo przy pierwszych wyborach postawili oddzielnego kandydata b. posła Cienciałę, a przy ściślejszych wstrzymali się częściowo od głosowania; katolicy — bo narzucili nie-polityczną zasadę, iż na przemiany ma być posłem raz ewangielik, raz katolik a drugą część tej zasady zmienili w ten sposób, iż katolika zastąpili księdzem. Bądź co bądź, z urny wyborczej wyszedł centralista, a okoliczność ta, zamiast skłonić powaśnionych do jedności i zgody, roztliła zarzewie wzajemnych niechęci, które księża katolicy gorliwie rozdmuchiwać zaczęli.

Szkodliwe rozdwojenie przeszło do sfery, w której nigdy miejsca znaleźć nie powinno, zaczęła się polemika jawna; czytelniom i szkołom a nawet stowarzyszeniom ekonomicznym nadano charakter wyznaniowy, wreszcie w październiku zeszłego roku założono *Towarzystwo polityczne katolickie*. Obrońca jego i propagator p. Stalmach, którego dzisiejsza działalność niejednokrotnie już ściągała poważne zarzuty, objaśnia powstanie wyznaniowego towarzystwa potrzebami sprawy narodowej, którą wrzekoma niestałość ewangelików na szwank naraża. Niestety objaśnienie to nie jest prawdą.

Cele katolickiego towarzystwa są zupełnie inne i trzeba oddać mu słuszność, że nie robi z nich nawet tajemnicy. Odezwa jego wydaną jest do wszystkich katolików bez różnicy narodowości, a więc nietylko do polaków, ale również do niemców i czechów zamieszkałych na Szląsku a celem jest wyrwanie władzy z rąk „płytkiego liberalizmu, który działa wbrew katolickiemu sumieniu i na szkodę katolickich interesów...“ Dalej czytamy: „związek położyć sobie ma za *główne i jedyne* zadanie podniesienie i wspieranie sprawy katolickiej, „towarzystwo będzie powszechnem t. j. nie będzie brało względu (?) na narodowość, lecz na religię“ itd. Dążnością jego jest wywalczenie zwycięstwa w życiu publicznem dla zasad katolickich i nic więcej. Oto w czem spoczywa jądro kwestyi.

Jedynym celem katolików jest pokonanie liberalizmu a sprawa narodowa tylko manewrem, podówczas gdy ewangelicy przeciw liberalizmowi nic nie mają, owszem bronią go, odrzucając tylko germanizatorskie jego zachcianki. Dla pierwszych „poseł powinien być przedewszystkiem dobrym katolikiem“ — dla drugich — dobrym polakiem.

Dziwną rolę w tej sprawie odgrywa redaktor *Gwiazdki Cieszyńskiej* p. Stalmach. Człowiek to bez zaprzeczenia wielkich zasług, ale niemniejszej ambicyi i chętki przewodzenia. Schorowany, stary, stał on się narzędziem w rękach zręcznych intrygantów i wpływem swoim zamiast łagodzić i koić swary, rozjątrza je tylko. Ewangelik,

---

6)

Wspomnienia o Heinem.

VIII.

Przeklęty był to pieniądz te szesnaście tysięcy franków! Wkrótce potem przybył do Paryża niejaki Friedlaender, który świeżo poślubił we Wrocławiu siostrę słynnego Lassale'a, naówczas dwudziesto i jednoletniego młodzieńca. Pani Friedlaender, ładne, małe stworzonko, o włosach kruczych, śnieżnej cerze i gibkiej kibici, była bohaterką „Młodych Niemiec.“ Prócz męża, piwowara z powołania, towarzyszyło jej dwu zuchów pruskich, wielkich czcicieli ciała, którzy jeździli z nią codziennie konno do lasku Bulońskiego. Mieszkała w hotelu Kastylskim i prowadziła wielki dom. Zachwycała się poezyami Heinego, recytowała je z pamięci przy swych śniadankach na przedmieściu Poissonnière, przy których płynął zazwyczaj szampan. Heine ją lubił. Usposobiona była bardzo romantycznie i sama pisywała liche rymy. Na jednem z tych śniadań — bo uczestniczyłem we wszystkish tych uroczystościach — poznałem się z młodym Lassallem, wielkim, pięknym chłopcem, o kędzierzawych włosach, wyczekującym z niecierpliwością rozgłosu. Ja to przedstawiłem go redaktorom falansteryjnej *Démocratie pacifique* a ponieważ był bardzo wymownym i dużo na swój wiek rozprawiał, Heine wróżył mu wielką przyszłość w Niemczech.

— Co pan nazywasz wielką przyszłością? — zapytał go młody człowiek.

— Być zastrzelonym przez jednego z pańskich uczniów — odparł śmiejąc się Heine.

Bez mała rzeczywiście mu się to przytrafiło.

— Chcę być Mirabeau dla Niemiec! — zakrzyknął Lassalle pewnego razu, wywijając swą długą laską o złotej gałce, która go nigdy nie opuszczała.

— Aleś pan nie dziobaty — odparł Heine; jesteś na to zbyt ładnym chłopcem. Ah! gdybyś był poetą, jak Goethe, kochałyby cię wszystkie piękne Fryderyki i wszystkie brzydkie panie Stein; wobec tego, wszelako, jak wyglądasz, widzę w tobie tylko przyszłego aktora. Porwie cię niewątpliwie pierwsza lepsza hecarka!

I to przytrafiło mu się także. Jakkolwiekbądź, Friedlaender, który w owym czasie założył towarzystwo finansowe dla zaprowadzenia gazu w Pradze czeskiej, namówił Heinego do wzięcia akcyj za owych szesnaście tysięcy franków. Zaledwie podpisał zobowiązanie, rzekł do mnie:

— Zdaje mi się, żem popełnił głupstwo!

— Jakto! — zawołałem — dałeś pan szesnaście tysięcy franków Friedlaenderowi? Zrujnowałeś się!

— Ależ nie — odrzekł, gaz pragski ma wielką przyszłość.

— Będą matactwa — zauważyłem. Zapomniałeś pan już o historyi z wełną jodłową? Dowiedz się zatem, że Friedlaender ofiarowywał mi trzysta franków za napisanie artykułów do *Corsaire-Satan* o nowym wynalazku, na który, jak mówi, posiada przywilej, a który polega na wyrabianiu gatunku wełny z igieł jodłowych.

— I odrzuciłeś je?

— Odpowiedziałem mu, że mię bierze za barana, lecz ponieważ wyśpiewuję romanse jego żonie, z wieczora, o zmroku, przyrzekłem mu, że go przedstawię redaktorowi *Corsaire'a*, który go posłał z kwitkiem.

— Jakto, i pan także! — wykrzyknął Heine. Prawda, toć ona taka piękna, a przytem zgrabna i naiwna, jak gdyby nie była zamężną.

— Nic tak naiwna, jak pan sądzisz—odrzekłem. Co do mnie, nie mam najmniejszej nadziei; braknie mi stanowczości, a zresztą,

czerni w swym organie współwyznawców i odmawia im słusznego uznania a w niepojętem zaślepieniu woła z radością, że „katolicy jak się zorganizują, zdołają zdecydować bez względu na ewangelików“ i ci ostatni „pójdą w smutną odstawkę.“ „Zaiste smutna to byłaby odstawka, bo odstawka sprawy narodowej“ — odpowiada na to jeden z miejscowych publicystów. Smutniejsza rzecz jeszcze, że my nawet w obronie zagrożonego stanowiska, nawet w obec nieprzyjaciela ciągnąć musimy w różne strony i dla ubocznych względów poświęcać cel główny. Potworna larwa ultramontanizmu wysunęła jednę z łap swoich i na Szląsk i zatruwa jadowitą śliną swych zasad odradzające się zaledwie życie narodowe. Dla przypodobania się jej zapomnieliśmy o pół milionie mazurów w Prusach wschodnich, o protestantach na Szląsku pruskim — teraz odtrącamy od wspólnego łona braci naszych ewangelików szląskich w Austryi, a w nagrodę za to otrzymamy zaszczytny tytuł najbardziej katolickiego narodu w Europie.

P.

PRZESĄDNOŚĆ.

Zdarzają się wypadki, upokarzające głęboko ludzi w postęp wpatrzonych i oczekujących po nim skutków dobrych. Wypadek tego rodzaju zdarzył się niedawno w Genewie. Stróż cmentarza dostrzegł naruszenie jednego z grobów świeżych. Ślady wyraźne świadczyły, że grób był rozkopany i napowrót zasypany. Uwiadomiona o tem policya odniosła się do władzy właściwej, a ta, po sprawdzeniu rzeczy, przekonała się o słuszności podejrzenia. Śledztwo miało trudność niejaką w wykryciu racyi czynu, gdyż wykazało, że nietylko grób był rozkopywany, ale przytem otwierano trumnę. W jakim celu? Domysł kradzieży upadał sam przez się. Nieboszczyk należał za życia do klasy najuboższej i nie zabrał ze sobą nic, co by wzbudzić mogło łakomstwo złodziejskie. W trumnie okryto go tylko płachtą starą, bez żadnej wartości. Cóż się pokazało? Oto płachty tej kawałek oddarto i zabrano. Zbeszczeszczenie grobu to tylko na celu miało; cel zaś ów dotyczył... praktyk czarnoksięskich.

Praktyki czarnoksięskie? — przy końcu wieku XIX? — w Genewie? — w jednym z najoświeceńszych na kuli ziemskiej zakątku? Wierzyć się temu nie chce. Kilka miesięcy temu to samo zdarzyło się w Szwajcaryi niemieckiej. Dziennikarstwo genewskie szuka okoliczności łagodzących, zwalając odpowiedzialność na włochów przybłędów, co znaczenia faktu bynajmniej nie umniejsza, zważywszy, że nie jest odosobniony. Uprawa nauk naturalnych i ścisłych, filozofii i teologii nie usuwa zgoła wróżbiarstwa, kabalarstwa i cudownego leczenia, jakoteż wierzeń, zabobonów i guseł, tradycyjnie do gruntu przywiązanych. Umniejsza się to, ale nie znika; traci na sile, ale się przechowuje w postaci zarodków, które jak gdyby czekały na chwilę sposobną, ażeby rozkwitnąć na nowo. Oświata spycha to w cień; nie jest atoli jeszcze do tego stopnia potężną, ażeby przesądność z gruntu wykorzenić. Kiedy to nastąpi? — Czy nastąpi kiedy?..

Pytanie ostatnie nie jest pozbawione racyi. W praktykach bowiem, mających z tego i innego rodzaju czarami styczność, udział biorą ludzie, których bezwarunkowo ciemnymi nazwać nie można. Garnie się do nich nie sama tylko ciemnota. Dowód na to taki. Pod względem oświaty wielka pomiędzy wsią a miastem zachodzi różnica: owóż kabalarki, jasnowidzące, magnetyzerowie różni przemieszkują i do fortun dochodzą nie po wsiach, ale po miastach, żyją na rachunek nie tej ludności, co się kształci w szkółce elementarnej, ale tej, co oddycha atmosferą szkół średnich i wyższych, słucha odczytów, czerpie z bibliotek, zwiedza muzea i galerye, bywa w teatrze; słowem, ma na rozporządzenie swoje wszystkie środki, służące do rozjaśnienia pojęć i wykazania niedorzeczności praktyk, nie mających najmniejszej ze zdrowym rozsądkiem wspólności. Tak jest—niestety.

Skądże to pochodzi? Wytłomaczyć tego inaczej nie można, jak tylko, że duch wieków średnich przebywa jeszcze śród nas i trzyma się nawet gleby nowożytnej bardzo mocno. Faktu bowiem takiego, jak profanacya grobu dla celów czarnoksięskich, nikt chyba nie przypisze—jak to np. czynią niektórzy we względzie pierwszej lepszej kradzieży—wpływowi darwinizmu, ale tej wierzenia w działalność sił mistycznych skłonności, którą urabiają doktryny, budowane na podstawie praw objawionych. Że prawdy owe ściśle są z praktykami czarnoksięskiemi spowinowacone, wynika to stąd, iż pomiędzy temi a tamtemi zachodzi ścisły logiczny związek. Ten, co wierzy np. w zmianę cudowną substancyi jednej na drugą, zniewolonym jest do uwierzenia we własności osobliwe płótna, które w grobie zwłoki ludzkie martwe okrywało. Wierzeniom na tej drodze granicy zakreślić niepodobna, pomimo wszelkich w tym względzie czynionych usiłowań.

Z usiłowań tego rodzaju jedno, daty bardzo świeżej, na zaznaczenie zasługuje.

Leon XIII ogłosił *breve* papieskie, zaprowadzające pewne zmiany w litaniach i modlitwach. Z powodu tego *breve* p. Besson, biskup z Nimes, ogłosił list pasterski, z którego przytoczymy dosłownie urywek następujący:

„Niech was nie dziwi, bracia kochani, że kapłan najwyższy w ten sposób modlitwę publiczną reguluje, ani że bierze dowództwo w tej spokojnej wojnie krzyżowej, w której biskupi, księża, wierni powinni, wedle słów jego, w doskonałej kroczyć jednozgodności. Pobożność nieprawidłowa często, jeżeli dusz w obłęd nie wprawiała, to wyciągała je w zapale nieoględnym, daleko poza granice. Stąd to pochodzą proroctwa kłamliwe i widzenia śmieszne, zaznaczające w krótkim czasie koniec prób, przez jakie kościół przechodzi, i pozostawiające, gdy data fatalna przeminie, zwątpienie w głębi serc słabych i umysłów łatwowiernych. Stąd to pochodzą praktyki nabożne, wymyślane przez ludzi do tego nie upoważnionych i szerzone przez dziennikarzy niepowołanych, którym przypisuje się skuteczność niezawodna we względzie zbawienia kościoła i Francyi. Stąd to pochodzą owe spekulacye finansowe, które się ukrywają pod maską nabożeństwa, oszukują naiwnych, uwodzą łakomych, gromadzą ruiny jedne na drugie i mieszają rzeczy najświętsze z zabiegami i rachubami, tyczącemi się interesu osobistego. Śród takiego wyuzdania (*devergondage*) powiada biskup — przykazania boże zapoznawane są w szeregach tych nawet, co się mienią obrońcami Boga i kościoła jego. Zrobiono sobie religię łatwą, stosującą się do uciech najpodejrzańszych i namiętności najhaniebniejszych.“

Oto, co powiada biskup. Przytoczyliśmy wyjątek powyższy, dlatego, że maluje on stan *devergondage*—w jakim obecnie znajduje się grono wiernych kościołowi na Zachodzie i ażeby powiedzieć, że regulowanie i branie przez ojca ś. dowództwa nie przyda się na nic. Powstrzymanie od przekraczania granicy czystem jest niepodobieństwem tam, gdzie punkt wychodni przekraczanie koniecznem czyni. Czyż papieże sami granicy owej nie przekraczali? A, jeżeli przekraczali ją — jakże chcieć, ażeby nie dopuszczali się tego

---

nie ja to jestem rzeczywistym Amfitryonem, lecz pan—za swoich szesnaście tysięcy franków! Jest-żeś pan przynajmniej zapłaconym?

Rzeczywiście stracił wszystko. Pieniądz był przeklęty. Towarzystwo upadło.

Nienawiść, jaką rodzina Heinego pałała do poety, sięgała najdalszych jej gałęzi; miałem tego dowód w r. 1848. W owym czasie Heine, do żywego zmartwiony ujawnieniem pensyi, którą pobierał z funduszów potajemnych, zamknął się w domu zdrowia, jak to już wyżej nadmieniłem, przy ulicy Lourcine. Nikt, prócz mnie, nie znał tego schronienia w odległym zakątku wielkiego miasta, i nikt, niewątpliwie, nie byłby go tam odszukiwał. Heine był bez grosza i bardzo chory, jak kolwiek nogi jego nie były jeszcze dotknięte paraliżem. Prosił mię, abym odwiedził braci Fould, spokrewnionych z familią Heine-Furtado, nie wszakże nie mówiąc, że jestem wysłany przez niego. Doznałem wtedy właśnie wielkiego powodzenia z powodu listu wydrukowanego w *Presse* p. t. *Kwestya życia i śmierci*, który był żywym protestem przeciwko systemowi terorystycznemu, zainaugurowanemu przez Ledru-Rollina w okólniku, zredagowanym przez Laudrowa. Przybyłem tedy do biura p. Benoit Fould, gdzie zastałem także jego brata, przyszłego ministra drugiego cesarstwa, tego samego, który w r. 1848 doradzał bankructwo narodowe. Zaledwie wyjaśniłem cel moich odwiedzin, wspomniawszy o chorobie i niedostatku wielkiego poety, gdy Benoit, odprowadzając mnie do drzwi, rzekł:

— Panu, panie Weill, jeśli potrzebujesz czegokolwiek, chętnie gotów jestem służyć; ale co do tego hołysza, gałgana, tej kanalii, Heinego, proszę pana, abyś nigdy nie wymówił jego nazwiska w moim domu! Jeśli się tu kiedykolwiek pojawi, będzie wyrzucony za drzwi, jak pies.

Postarałem się niepowtórzyć tej odpowiedzi Heinemu, powiedziałem mu wszelako, że mi się nie powiodło, że Fouldowie są jego śmiertelnymi wrogami. Szczęśliwszy byłem co do Meyerbeera, lecz byłbym lepiej zrobił, gdybym był cicho siedział, jak się to wnet okaże.

IX.

W dwudziestym czwartym roku życia— w tym wieku niema niemożebności — spędziłem dnie w redakcyi dziennika francuskiego we Frankfurcie, wieczory zaś w teatrze, gdzie w charakterze krytyka teatralnego, literackiego i muzycznego, pisałem na poczekaniu mój artykuł, który miał się ukazać nazajutrz w dzienniku, napół po francusku, napół po niemiecku. W owym czasie istniała jeszcze cenzura dla wszystkich gazet politycznych i literackich. Pewnego dnia, ku wielkiemu memu zdziwieniu, jeden z mych artykułów niemieckich, pełen pochwał dla miejscowego tenora, zwrócony mi został najzupełniej pokreślony przez cenzora, starego doktora, nazwiskiem Fiedler. Dwa kroki i już byłem u niego. Spodziewał się mnie.

— Młodzieńcze—odezwał się do mnie — masz talent, płodzisz idee (nigdy nie zapomnę tego wyrażenia), słowem interesujesz mię. Otóż dowiedz się, że nigdy nie należy tak wysławiać artysty, ażeby go nazajutrz nie można było zdławić. Popraw swój artykuł, pomiarkuj wyrażenia, pisz z zastrzeżeniami, niema człowieka doskonałego, a artykuł twój przejdzie odrazu.

W południe przybiegł do mnie Schmetzer, młody tenor.

— A artykuł twój—wrzasnął — przecież mi go przyrzekłeś!

Pokazałem mu wymazany i powtórzyłem lekcyę, jaką tylko co dał mi stary doktór.

— Dobrze więc — zawołał — gdzie się podzieje moralność? Stary chce, abym poślubił jego córkę.

— Ależ, przecie jest bardzo piękna—odpowiedziałem. Widziałem ją dziś rano.

ludzie nie dobro kościoła, ale dobro własne na celu mający, a wyobraźnią żywą obdarzeni? Zadanie, jakie z listu biskupa widnieje, polega na wzbudzeniu żarliwości umiarkowanej, inaczej, na powstrzymaniu wiary w polocie. Czy to rzecz możliwa? Ażeby możliwość w tym względzie osiągnąć, potrzebaby przedewszystkiem za niebywałe uznać wszystkie cuda, widzenia i szczególne przedmiotów i zaklęć pewnych własności, zapisane w historyi kościoła, jako fakty, dowody i świadectwa. Bez tego, *breva* wszelakie na żarty zakrawają: co bowiem w tym przedmiocie za możliwe w przeszłości uznano — czemużby niemożliwem być miało w teraźniejszości i przyszłości? — czemużby własność, jaką posiada relikwia jedna uspokajania bólu zębów, druga gaszenia ognia, trzecia odwracania piorunów, czwarta odszukiwania zguby, etc. etc., rozciągać się nie miała na prześcieradło, co nieboszczyka w grobie osłaniało? Własność tego ostatniego od warunków pewnych zależy — nie każde prześcieradło do praktyk się nadaje. Warunki owe, z konieczności rzeczy wchodzą logicznie do kategoryi tej samej, co warunki, nadające moc osobliwą płaszczowi św. Agaty, chustce św. Pawła itp. W przypuszczaniu jednych jest podnieta dla drugich. Dopóki długo zalecać się i przyjmować będzie cnota mistyczna zębów, kosteczek, cząstek odzieży i ułomków sprzętów, które należały do osobistości, odznaczających się przymiotami szczególnymi, póty wyobraźnia czepiać się musi praktyk czarnoksięskich. Na zapobieżenie temu — w czem rada? W oświacie — zapewne.

Napisanie wyrazów ostatnich przypomniało mi pewnego w Galicyi obywatela, właściciela ziemskiego. Gdym u niego w gościnie był, oprowadzał mnie po gospodarstwie swojem i pokazywał łany zbożem obsiane. Zboże przedstawiało się pięknie. „Będzie plon obfity — zauważyłem — byleby grad nie wybił.“ „O! — podchwycił— przeciwko klęsce tej zabezpieczyłem się.“ „W którem towarzystwie? — zapytałem.“ „U Pana Boga—była odpowiedź — w każdym rogu łanu zakopałem kartkę ewangelii.“ Zabezpieczenie to na nic się, niestety, nie przydało: w kilka tygodni później grad zboże wytłukł; asekuracyi zaś owej osobliwość na tem polegała, że obywatel ów nietylko na uniwersytet chodził, ale, na wydziale prawnym, próby wszystkie przebył i stopień doktora uzyskał. Był to więc człowiek oświecony i wierzył — w cudowne kartek ewangelicznych przymioty. Nie w samej tylko Galicyi pojawiają się doktorowie tego rodzaju. Przesądność wkorzeniła się głęboko. Z tem wszystkiem niema na nią rady innej, tylko oświata, która ją umniejsza, ogranicza, w cień spycha i, spodziewać się należy, że wkońcu i z cienia wyrzuci.

T. T. Jeż.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, luty.

I.

Napaść jezuitów protestanckich na Bendera — Najlepsze lekarstwo na czernidła.—Rezolucya waszyngtońska zwrócona. — Projekt dualistycznego nauczania historyi.—Master Bastian w klatce.—Gazeta Kolońska z r. 1609. — Sztrasburg i sprawa alzacka. — Dr. Jan Żółtowski.

Nie przebrzmiało jeszcze zajście berlińskie, Stöcker contra Du Bois-Reymond, a mamy już nowy zatarg nad Renem, który od kilku tygodni rośnie jak lawina, pobudza garstkę ludzi do pisania broszur, do zbierania adresów, do podawania denuncyacyj i psucia sobie krwi jątrzącemi rozprawami. Tym razem nie sam ojciec Stöcker, ale szwagier jego, Krüger, pastor w prowincyi nadreńskiej, występuje jako oskarżyciel i wiehrzyciel, w imię całości i niezachwianej powagi kościoła augsburskiego.

Rzecz się tak miała. Profesor teologii na uniwersytecie w Bonn, protestant liberalny, młody jeszcze człowiek, Bender, na obchodzie Lutrowskim miał mowę, która prawomyślnym augsburczykom nie przypadła do smaku: wyraził w niej zdanie, iż obecny kierunek skostniałego luterstwa wcale się nie zgadza z myślą założyciela, że jest jej spaczeniem i zepsuciem. Stąd gniewy. Ale jak zaczepić Bendera, który jest profesorem, a więc ma poręczoną wolność słowa? Oczywiście, podstawia mu się nogę nie jako profesorowi, ale jako duchownemu, bo nim jest także. Dwaj tedy zeloci wydziału teologicznego w Bonn, podburzeni podobno przez Krügera, wystąpili z oświadczeniami przeciwko koledze i założyli związek studencki ultra-prawomyślny, który za cel ukryty ma pozbawienie prof. Bendera słuchaczów. Sam zaś Krüger wydrukował odezwę do synodów powiatowych i podbudził superintendenta nadreńskiego do wydania listu pasterskiego w duchu potępiającym mniemane zuchwalstwo Bendera. Na czem się ta sprawa skończy, przewidzieć trudno. To tylko wiemy, że dotychczas wydział teologiczny w Bonn ignoruje rzecz całą, że mowa Bendera miała już siedm wydań, że jakiś anonim ogłosił w Bonn, u Straussa (synowca znakomitego Fryderyka Dawida), dowcipną a zjadliwą satyrę, podpisaną imieniem Voltaira (J. M. Arouet), w której niemiłosiernie chłoszcze ultramontanów ewangielickich, że Stöcker chciał sprawę wprowadzić na sejm pruski, ale stchórzył i że panowie prawomyślni tym wybrykiem nietylko sobie ani szacunku, ani popularności nie jednają, lecz oboje ostatecznie podkopują. Broszura mniemanego Aroueta rozchodzi się w potężnej ilości egzemplarzy, a Bender spokojnie dalej wykłady swe ciągnie.

Du Bois-Reymond ogłosił nareszcie mowę, która w roku zeszłym tyle krzyku wywołała. Jak zwykle bywa w takich razach, okazuje się, że narobiono wiele hałasu o nic, a przynajmniej o bardzo niewiele i tylko krewkość przeciwników z muchy wielbłąda uczyniła. Zupełnie tak samo, jak z ową bródną księżycową osławionej Pigeonnier. Gdyby „Szara-Bera“ nie zrobiła sceny ze szpicrutą byłej przyjaciółce swojej, piśmidło utonęłoby w ściekach literackich, wraz z mnóstwem pokrewnych duchem utworów; ale że zaczęła harmiderować, zwróciła tem uwagę na paszkwil i ten już w dziewięćdziesiątem trzeciem wydaniu na świat wyłazi. *Vous-vous fâchez, donc Vous avez tort,* słusznie powiadają francuzi. Kiedyż na kontynencie europejskim ludzie się nauczą puszczać mimo uszu plotki, paszkwile, oszczerstwa, karykatury i wszystkie wogóle wybryki dowcipu, zawiści, złości, zazdrości, zemsty i nienawiści najukochańszych bliźnich swoich? W Anglii i Ameryce paszkwile drukują się kopami; ale że ci, na których są pisywane, żadnej na nich nie zwracają uwagi, więc i publiczność ich w tem naśladuje, a piśmidła idą na obwijanie szwaksu.

Wyżej wspomniany profesor berliński, na czele swej obecnie wydrukowanej mowy, zamieścił kilka wierszy wielkiego męczennika Giordana Bruno. Cóż to za pełne godności i wzgardy słowa, ciśnięte w oczy całej zgrai zazdrośników, zagorzalców, wsteczników, ciemiężców:

...Cieco error,
Sord' invidia, vil rabbia, iniquo zelo,
Crudo cor, empio ingegno, strano ardire
Non bastaranno á farmi l'aria bruna

— A nadto, ma dużo rozumu — odparł młody tenor — ale z tem wszystkiem nie chcę się ożenić. To prawdopodobnie ona wymazała twój artykuł; stary papa nie robi nic, nie poradziwszy się córki.

We Frankfurcie poznałem się z Meyerbeerem po napisaniu recenzyi o *Robercie Dyable*, którym się zachwycałem, recenzyi, w której jednak wskazałem mu melodye synagogialne, spożytkowane przez mistrza żydowskiego dla swych chórów i recitatiwów. Meyerbeer przyszedł mię odwiedzić w mym maleńkim pokoiku. Zostaliśmy przyjaciółmi: przyjaźń ta trwała aż do jego śmierci. Przybywszy do Paryża, zamieszkałem w *Quartier latin*, gdzie utrzymywałem się jako tako z mych korespondencyj niemieckich i ze współpracownictwa w dzienniku studenckim p. t. *Les Ecoles*. Później mieszkaliśmy na wspólnym koszcie z młodym Morinem, chłopcem wielkiego talentu. Za dnia Morin i ja wychodziliśmy na miasto w stroju robotników, w bluzach, czapkach i spodniach z aksamitu manchesterskiego. Było to bardzo modnem w owej epoce. Przypominam sobie nawet, że właściciel kawiarni Lapelletier wzbronił mi do niej wejścia, ponieważ nosiłem bluzę, jakkolwiek byłem w towarzystwie Heinego i Gautiera. Nie przeszkadzało mi to pójść wieczorem z wizytą w czarnym stroju, w koszuli haftowanej i lakierkach, sprowadzonych z Niemiec. Morin miał metresę, brzydotę i dobroci niewypowiedzianej, która gospodarowała nam i zarazem uczyła mię kuchni. Znałem tedy *Quartier des halles* w jego najdrobniejszych szczegółach. Nieraz Morin, jego metresa i ja przebiegaliśmy w nocy wszystkie zaułki tej dzielnicy, zwiedzając wszystkie jej kryjówki dla opisania ich—ja w dzienniku lipskim, Morin—w małej gazetce paryskiej. Gdy Meyerbeer przybył do Paryża, podczas pewnego śniadania z Heinem w restauracyi, bez Matyldy — bo Meyerbeer unikał, nie wiem dlaczego, towarzystwa kochanki mego przyjaciela — opowiadałem im o knajpach w okolicy hall, nadewszystko zaś o norze zwanej *Au hasard de la fourchette*, gdzie za jeden *sous* sprzedawano wazę zupy z porcyą mięsa. Meyerbeer i Heine, pałając ciekawością zobaczenia tego salonu ludowego, pełnego złodziei i „Alfonsów“ ówczesnych najniższego rzędu, zaproponowali mi, aby im tam towarzyszyć. Schadzka została ułożoną. Postanowiono pójść w czapkach i żakietach, jak prości subjekci bez miejsca. Meyerbeer nie mógł zapomnieć tego widoku i tej nędzy, jakkolwiek nigdzie dłużej nie zatrzymywaliśmy się. Brano nas za szpiegów. Śmiał się do rozpuku, gdy widział ludzi w łachmanach, z wazką w ręku, żądających za jeden *sous* zupy, którą wydzielano im za pomocą soręgi. Po wielu libacyach pospiesznym krokiem wzięliśmy się do odwrotu.

Powiedziałem, że zaraz przy zapoznaniu się naszem, Heine mię uprzedził, abym nigdy od niego nie żądał pieniędzy. Pomimo to znałem jego przyjaciół, ale tylko niemców, którym dawał pieniądze, kiedy je miał, gdyż udawał gorszego, niż był w istocie. Był bardzo dobrym, nie pożyczał, ale dawał. Wszelako w miarę jak zarabiałem dość pieniędzy na te czasy i kiedym urządził sobie z siostrą własne mieszkanko, Heine, ilekroć biadałem nad swą niedolą, mawiał do mnie nazajutrz:

— Weill, jesteś porządny i oszczędny, bądź tak grzeczny i pożycz dziesięć franków, bo nie mam grosza w kieszeni. Pojutrze ci je oddam.

Pożyczałem i zwracał mi je zawsze. Pożyczał z obawy, abym nie zaciągał u niego pożyczki. Pewnego dnia, po sławnem śniadaniu u mnie z Balzakiem i Suem, widząc, ile mnie ono kosztowało i obawiając się, abym nie zażądał od niego pomocy, odezwał się do mnie po odejściu Suego i Balzaka:

— Weill, czekam kuryera z Hamburga. Czy możesz mi pożyczyć sto franków?

Było to w r. 1847. Przetłomaczyłem był właśnie na język niemiecki dla wydawcy

Non mi porrann' avanti gl' occhi il velo,
Non faran mai ch' il mio bel sol non mire!

„Ślepy obłęd, tępa zawiść, szpetna wściekłość, nikczemna gorliwość, serca okrutne, dusze niemiłosierne i grube zuchwalstwo nie zdołają mi zaciemnić przezroczy powietrznych, nie okryją oczu moich zasłoną i słońcu pięknemu nie wzbronią mi świecić.“

W liczbie mów Du Bois-Reymonda mieści się jedna, zatytułowana: „Kopernik i Darwin.“ Ktoby myślał jednak, że tam o Koperniku więcej nad kilka słów i to ubocznych znajdzie, to się pomyli.

Wiele wrzawy budzi tu świeże znalezienie się żelaznego kanclerza z adresem amerykańskim. Zapatrując się na czyn ten ks. Bismarka ze stanowiska konstytucyjnego, każdy nieuprzedzony i bezstronny śmiertelnik nazwie go zuchwałym. Ale że do Laskera wysoko, do Ameryki daleko, a potulny sejm niemiecki gotów w swej pokorze nadstawić jagodę na drugi policzek, więc sprawa jakoś się przytłumi.

Są dwie miary i dwie wagi na tym świecie.

Utwierdza mię w tem przekonaniu wniosek pewnego posła bawarskiego, aby po szkołach zaprowadzono podwójny wykład historyi powszechnej: jeden ze stanowiska katolickiego, a drugi z protestanckiego. Że to się praktykuje oddawna, nietylko w Bawaryi, o tem wiemy wszyscy: oryginalną jest tylko myśl szanownego szwaba, aby rzecz tę usystematyzować i uprawnić. We wszystkiem trudny tylko pierwszy krok; potem można będzie zastosować taki dualizm i do arytmetyki i do gieografii. Gdybyż tylko na dualizmie się skończyło! A cóż będzie, gdy żydzi, kalwini, spirityści i wszystkie inne autoramenty zażądają specyalnych arytmetyk, historyj i geografij?

Lecz niesłusznie może wymieniłem spirytystów: ci już powinniby dać za wygranę dalszej walce o byt. Po takiej konfuzyi, jaka ich spotkała w Wiedniu lepiej nie być, niż być. Wiecie już zapewne o niej? Dla niewiedzących w kilku słowach rzecz przedstawiam. Jeden z arcyksiążąt wyraził chęć oglądania na własne oczy figlów spirytystycznych znanego „medium“ londyńskiego, pana Bastiana. Stawił się on zaraz na pokoje apostolskie; zasiadło szczupłe grono dworskie przypatrywać się dziwom: dwaj arcyksiążęta, Rudolf i Jan, oraz kilku dworzan; jakiś hrabia spirytysta przygrywał na klawikordzie. Master Bastian popisywał się znakomicie; szklanne cylindry, jaśniejące fosforem, biegały pod samymi nosami widzów, tabakierka grająca brzęczała nad samemi ich uszami; duchy rozigrały się na dobre; Bastian tymczasem miał siedzieć przypieczętowany w drugim pokoju. Aż naraz trzask! zapadają ukryte drzwi żelazne, o których czarodziejowi ani się śniło; robi się światło i okazuje się, że pan Bastian, bez butów, w wełnianych pończochach stoi w pokoju widzów, jako sprawca wszystkich figlów i jako... bezwstydny oszust. Próbował biedak uciec, a gdy się to nie udało, próbował zemdleć, a gdy i to się nie udało... no, końca domyślić się łatwo.

Przypominam sobie, żem przyrzekł objaśnić czytelników moich o gazecie z r. 1609, znajdującej się w bibliotece tutejszej. Miałem ją niedawno w ręku. Ciekawy to zabytek w swoim rodzaju; jeżeli nie najpierwsza, to z pewnością jedna z pierwszych prób dziennikarstwa w Europie. Jakiś niewiadomy z nazwiska redaktor wydawał w Kolonii co tydzień pół arkusza szarego papieru, zadrukowanego nowinami z całej Europy. Tytuł jest długi; początek jego brzmi: „Relation aller fürnemmen und gedenckwürdigen Historien...“ W rzędzie krajów, z których mają być wiadomości, jest i Polska; ale w ciągu roku jeden tylko list zamieszczono, datowany „Ausz Crackaw“ 1 stycznia, a wydrukowany w numerze z d. 22 stycznia; nic w nim ciekawego niema. Zamierzając gdzieindziej nieco obszerniej o tej gazecie pomówić, poprzestaję tu na wzmiance, że ciekawą być może ona badaczom historyi czeskiej, bo zawiera mnóstwo obszernych korespondencyj z Pragi, gdzie podówczas gotowały się wypadki wszechświatowej doniosłości.

Tydzień temu jeździłem na parę dni do Sztrasburga. Przy sposobności oglądałem nowy dworzec tamtejszy: gmach wspaniały i olbrzymi; główna sala wielka i wysoka jak kościół, z oknami malowannemi, z dwoma ogromnymi i pięknie wykonanymi freskami; jeden przedstawia wjazd Karola Wielkiego, a drugi cesarza Wilhelma, z nieodstępnymi Bismarkiem i Moltkem, do Sztrasburga. Patrząc na to malowidło, pomyślałem sobie, dlaczego to zawsze malują *wjazdy*, ale nigdy *wyjazdów*? Wszak i tu możnaby znaleźć ciekawe i pouczające sytuacye, jak np. *wyjazd* Luwika Filipa z Paryża (1848); *wyjazd* króla-ułana z Paryża itp. Oglądałem też nowy uniwersytet, może najpiękniejszy, a pewno najobszerniejszy na świecie; zapełnia on całe przedmieście, zabudowane instytutami fizycznymi, chemicznymi, botanicznymi, obserwatoryami, cieplarniami naukowemi itd. Chmielowski (Benedykt) powiedziałby: Nowe Ateny. Korzystając ze sposobności, wysłuchałem godzinę prelekcyi pozytywisty niemieckiego prof. Laasa (pisałem dawniej o nowem jego dziele) o metodologii logiki. Wykład jasny, spokojny, skromny i poważny. Laas ma lat około pięćdziesięciu, rysy twarzy dość pospolite, dykcyę nie bardzo wyraźną. Słuchaczy miewa około trzydziestu, w tej liczbie dwóch rodaków naszych, którzy na specyalnych filozofów się kształcą i mówią o swoim profesorze z wysokim szacunkiem dla jego uzdolnienia i prawości.

Opisując dawniej wycieczkę moją do Alzacyi, zaznaczyłem, że większość patryotów miejscowych marzy o udzielności drobnej ojczyzny swojej (*Prawda*, 1883, str. 344). Marzenie to sformułował niedawno w formie odpowiedzi na tytułowe pytanie pan Maass, poseł saski: *Was soll mit Elsass-Lothringen werden?* (Lipsk, 1884). Dowodzi on, że najpomyślniej dla Niemiec, Francyi i prowincyi anektowanych byłoby, gdyby tym ostatnim udzielono niezależność polityczną, neutralność i rząd republikański lub monarchiczny, stosownie do woli mieszkańców. Że to jest tylko pobożne życzenie autora i alzatczyków, widać stąd, iż sfery rządzące nietylko o urzeczywistnieniu jego nie myślą, ale owszem, zamierzają świeżo zdobyte prowincye wcielić do państwa nie już niemieckiego, lecz pruskiego, aby tem swobodniej w nich gospodarzyć.

Nie łatwo jednakże to przyjdzie, bo sympatye francuskie, jak widać z ostatnich rozpraw sejmu prowincyonalnego, jeszcze nie wygasły. Nakazano obradować w języku wszechniemieckim; cóż na to poradzić, gdy większość posłów przywykła mówić i myśleć po francusku, a tylko w potocznej rozmowie z ludem używa gwary giermańskiej, bardzo różnej od mowy urzędowej. Otóż niedawno poseł Grad dał dobry przykład: zamiast po niemiecku, przemówił narzeczem miejscowem, tak zwanem „Colmerer Ditsch“ (niemczyzną kolmarską); mowę jego w zapiskach stenograficznych wydrukowano w przekładzie na język urzędowy; ale poeta Mangold przywrócił jej szatę pierwotną i zaraz wydał po alzacku. Dzienniki niemieckie twierdzą, że w tej formie należy ona do „amüsantesten Etatsreden“ (zabawna rzecz, że i do tej niby niemieckiej definicyi, użyto dwóch wyrazów francuskich). Przytaczam tu, jako *curiosum*, początek mowy pana Grada. „Wel das

---

Laskego z Darmsztadu moją *Wojnę chłopską*, którą napisałem dla *Falangi* po francusku i którą Amyot przedrukował następnie i wydał w osobnym tomie. Amyot dał za oryginał sto franków, lecz Laske nadesłał mi był właśnie 1200 fr. za tłomaczenie i suma ta leżała w mojej sekretarce. Poprowadziłem Heinego do biurka i otworzywszy szufladkę, rzekłem:

— Widzisz, nie potrzebuję wcale pieniędzy!

— Panie nieba!—zawołał, oddalając się— uważałem siebie za łajdaka, ale ten oto mnie jeszcze przełajdaczył!

Powróćmy do Meyerbeera. Opuściwszy Fouldów, udałem się do niego, by pogadać z nim o troskach i kłopotach naszego przyjaciela:

— Jakto—krzyknął Meyerbeer— Heine, największy poeta liryczny Niemiec jest do tego stopnia nieszczęśliwym! Wiesz pan lub nie, żem się z nim poróżnił, bo nie dobrze sobie ze mną postąpił; ale oto bilet tysiącfrankowy, który zechciej mu zanieść, a jutro wstąp po mnie, pójdę go osobiście odwiedzić w domu zdrowia, w którym przebywa.

Zaniosłem mu pieniądze i nazajutrz zaprowadziłem wielkiego muzyka do wielkiego poety na ulicę Lourcine; zostałem w fiakrze, nie chcąc być obecnym ich spotkaniu. Jakież było moje zdziwienie i jakżem się oburzył, gdy w sześć miesięcy potem ogłosił swoje *Knittelverse* przeciwko Meyerbeerowi! Ten ostatni, od którego pierwszą o nich powziąłem wiadomość, był nimi bardziej zasmucony, niż oburzony.

— Gdybym się chciał zemścić— rzekł— mam listy wielce kompromitujące jego charakter, ale moja matka tak go lubiła. Powiedz mu wszakże, że każda struna, zbyt naciągnięta, pęka!

W pierwszej chwili przypominając sobie słówko Heinego o Guizocie, po podniesieniu trzech tysięcy franków, powiedziałem sobie: uczynił to dla dowiedzenia, że bilet tysiącfrankowy nie znieprawił go. Ale czyliż jest wstydem wyśmiewać największego kompozytora i czyż nie jest bezeceństwem napadać nań bez przyczyny, ot tak, dla zrobienia przyjemności kilku zawistnym? Ah! krzyknąłem, wchodząc do niego, teraz zgaduję, dlaczego mię Fouldowie wyrzucili za drzwi!

— Co! co! — odrzekł — podnosząc się z trudnością ze swego łoża boleści. Żądałem od niego dwu miejsc dla Matyldy i jej przyjaciółki; nie prosiłem go o nic przedtem nigdy. Czyż nie miał *hucpy* (wyraz hebrajski: zuchwałość) lub nie był tak podły, że mi przysłał dwa kiepskie miejsca na trzeciem piętrze!

— Alcż — odparłem — wiesz dobrze, że nie posiada biletów. Dyrekcya mu ich nie daje.

— Niechaj je kupi ze swych milionów.

Nadeszła Matylda, zawsze uśmiechnięta i pokazująca swe piękne zęby, widocznie zadowolona z zemsty swego męża i rozpoczęła seryę zarzutów, odnoszących się jeszcze do dziesięciu lat wstecz i błahszych jeden od drugiego. Miała do Meyerbeera urazę, że nigdy jej nie zaprosił do siebie i że nigdy noga jego u niej nie postała!

— Lecz do dyabła — wybuchnąłem — niedawno panu dał 1000 fr.

— Odeślę mu je—krzyknął Heine!

— Pan, nigdy! Jesteście kanalie.

— Alcż, niema za co batożyć kota!

I wypowiedział wiersze, które wydały mi się bardzo rozśmieszającymi i w rzeczywistości nawet daleko złośliwszymi, niż przypuszczałem; sam się nie mogłem powstrzymać od śmiechu. Zostałem na śniadaniu, a odchodząc powiedziałem im: *Wszyscyśmy kanalie!*

(D. c. n.)

G'setz uns zweng en d'r ditsch Sproch die Verhandlunge vom Landesaüsschuss ze halte, so bet' ich Sie mer z' erlowe en unserm Elsasser Dialect ze sprache, das heisst wie mer d'r Schnawel g'wachsen-esch... G'wess hatte Se mich uf franzesch besser verstande, awer, wie's em Liedle heisst:

Quand on n'a pas ce que l'on aime,
Il faut aimer ce que l'on a.“ *).

Na zakończenie donoszę, iż przed kilku dniami otrzymał na uniwersytecie tutejszym stopień doktora filozofii „insigni cum laude“ rodak nasz, pan Jan Żółtowski, z Ujazdu pod Kościanem, w Poznańskiem; specyalnością jego jest ekonomia polityczna.

Jan Karłowicz.

LISTY PETERSBURSKIE.

18 lutego.

Kredyt ziemski. — Sprawozdanie banku włościańskiego.

Szlacheckie, zwyczajne zebrania doroczne, ukończyły swoje obrady nader charakterystyczną prośbą o tani kredyt dla własności większej. Prośba ta naturalnie zwróconą została do rządu. Prośba ta jednak i starania prawdopodobnie nie odniosą skutku—przynajmniej co do głównej swej myśli, tj. kredytu hypotecznego. Papiery rządowe w teraźniejszem położeniu finansowem nie mają wcale takiej przewyżki nad papierami instytucyj hypotecznych, aby zastąpienie kredytu ziemskiego prywatnego przez państwowy było wielką ulgą dla dłużników. Na giełdzie petersburskiej np. w przeszłym roku bilety 5-procentowe państwowe notowano $89^{5}/_{9}$—93 za sto, a bilety 5% hypotecznego towarzystwa petersburskiego $88^{1}/_{4}$—$92^{1}/_{4}$ za sto.

Lepszą nadzieją cieszyć się może jakoby podniesiony w rządzących sferach projekt banku melioracyjnego państwowego. Kredyt melioracyjny, jak wiadomo, początkowo powstał w Niemczech, naprzód w Saksonii (1861), później w Hessyi a w 1879 sejm pruski pozwolił prowincyonalnym zebraniom zakładać z tym celem banki (*Landeskultur-Rentenbanken*), wskutek czego powstały one na Szląsku i w Szlezwigu. Otóż na wzór tego wzoru pruskiego mają być tworzone banki siłami ziemstw gubernialnych, czy też państwa.

Instytucya kredytowa dla własności drobnej ogłosiła niedawno swoje sprawozdanie. Bank włościański, najtrwalszy pomnik działalności obecnego ministra finansów, ma na celu dostarczanie małorolnym włościanom środków dla zakupu roli. Że liczba tych włościan w Rosyi jest bardzo znaczną, dzięki pracom znakomitego statystyka Jansona stało się już dziś pewnikiem niezawodnym w rosyjskiej literaturze ekonomicznej. Otóż bank ma im pomódz do nabycia normalnych działów ziemi. Ale powstaje pytanie: jaki dział ziem uważać należy za normalny; czy ten, który odpowiada roboczym siłom przeciętnej rodziny włościańskiej, czy ten, z którego ona pokrywa rozchody na swoje utrzymanie i wyżywienie? Jest to kwestya, bardzo zajmująca europejskich a zwłaszcza niemieckich ekonomistów, którzy pierwszy obszar ziemi nazywają *Arbeitsfläche*, a drugi *Nahrungs-* lub *Unterhaltungsfläche*. Trudność leży w tem, że bardzo rzadko te przestrzenie gruntów są mniej więcej jednakie: na polach urodzajnych i w umiarkowanym klimacie naturalnie przestrzeń, której podołać może jedno gospodarstwo włościańskie, starczy nawet z przewyżką na wyżywienie go; na nieurodzajnych i w klimacie chłodnym stosunek jest odwrotnym. W reformie włościańskiej przy podziale ziemi przyjęto zasadę drugą, t. j. starano się dać każdej rodzinie tyle gruntu, ażeby zabezpieczyć wszelkie jej potrzeby, wydatki i podatki. Skutkiem tego w guberniach północnych przestrzenie są znacznie większe, niż w południowych. Zasada ta okazała się w praktycznem zastosowaniu całkiem mylną, bo nie liczyła się z prawem ludnościowem oraz prawem podaży i popytu. Na północy włościanin nie mógł zająć pod swoje gospodarstwo tyle ziemi, ile miał, a ponieważ było więcej proponujących grunta, niż potrzebujących, wskutek tego ceny posesyjne upadły, lub też rozpoczęto kulturę drapieżną. Na południu, przeciwnie, siła robocza rodziny włościańskiej przewyższała jej dział, co wywołało rozszerzenie się stosunków dzierżawnych irlandzkich, a naturalny przyrost ludności doprowadził do rozdrobnienia gruntów, szkodliwego dla produkcyi. Sprawozdanie banku włościańskiego dowodzi, że najwięcej korzystały z kredytu państwowego właśnie prowincye południowe, co wykazuje słuszność poprzedniego rozumowania. Naturalny więc zbieg rzeczy zdaje się uprawniać wskazówkę, że miarą normalnego działu gruntów powinna być siła robocza włościańskiej rodziny, a nie jej potrzeby.

Przechodzimy do sprawozdania bankowego. Ogólna przestrzeń nabytej przez włościan ziemi wynosi 60 tysięcy z górą dziesięcin, na co bank dał 2,817,519 rs. a włościanie dopłacili 361.770, t. j. $11^{1}/_{3}$% ogólnej wartości. Ziemię nabyło 61 gmin, 120 spółek i 50 pojedynczych gospodarzy; największa liczba zawartych umów przypada na gubernie: połtawską (108), ekaterynosławską itd.; między wielkorosyjskiemi korzystały z kredytu tylko: twerska i ufimska. Życzyćby naturalnie należało, aby kupno ziemi nie stało się spekulacyą zamożniejszych jednostek, lecz zadośćczyniło koniecznej potrzebie włościan małorolnych. Dlatego to najbardziej protegowanemi powinny być umowy, zawierane przez całe wsie i spółki, nie zaś przez pojedynczych włościan. Czy bank rządzi się w danym razie jaką zasadą, o tem sprawozdanie milczy.

W. Ż.

Z LITERATURY UKRAIŃSKIEJ.

I.

Ja nie mam zaszczytu być literatem, a tem bardziej nie należę do warszawskiego Towarzystwa wzajemnej adminiracyi, ale mam zaszczyt być człowiekiem, czytelnikiem dosyć pilnym i być również maleńkim człowiekiem wielkiej społeczności. Czując tedy tyle zaszczytów na sobie, a bardziej zapamiętawszy dobrze, co stary latopisiec Nestor o kijowskich polanach pisał, zapytywałem siebie nieraz w cichości: jakie też są nasze etnograficzne granice od zachodu i południo-wschodu? Działo się to nie bez powodu. Gdybym nie był dobrze świadomy gieografii, której mię nauczył zacny ze wszech miar a zapomniany dzisiaj prof. Szumowski, mógłbym przypuścić, że graniczymy z Chinami, Francyą, Ameryką—ale nigdy z ludem jednego z nami szczepu, który się nazywa... ciekawy jestem, czyby zgadnął który warszawiak?

Ale mniejsza o to, jak się nazywa. Ja chcę słówko powiedzieć o ukraińskiej literaturze.

Był czas, kiedy u nas nietylko istniała osobna szkoła ukraińska, ale długo istniała także odrębna, zwana przezemnie *literacka Ukraina*. Była to Ukraina często mdła, wyidealizowana, wymarzona, wymanierowana, chociaż z poczuciem wielkiego artyzmu i melodyjnym językiem, wyśpiewana przez wielkiego poetę Bohdana Zaleskiego; Ukraina hulaszcza z tendencyą kozakofilską, reprezentowana przez Bońkowskiego, Szaszkiewicza, Padurę; Ukraina hajdamacka, przedstawiona w *Zamku Kaniowskim*, w osobie Szwaczki; Ukraina, odtwarzana piórem Grabowskiego (*Zamieć w stepach*); Ukraina, ukazywana dotychczas w łudząco pięknych barwach przez Brandta. W tej Ukrainie byli kozacy i szlachta, ale brakowało *ludu*. W tych sztucznie efektownych obrazach i naciąganej poezyi brakowało *prawdy* i realnego tła, posępnego nieraz aż do grozy, w tych pieśniach brakowało jednej struny—codziennego życia, jednej nuty — rzeczywistości. W poezyi naszej była Ukraina kozacką (ale z kozakami XVI w.) i szlachecką—ale nie *ukraińską*. Nasi niby-ukraińscy poeci brzdąkali na bandurach ani to, ani owo, kochali się w złudzeniach, a żaden nie umiał wzlecieć na tę wyżynę, skąd mógłby pokazać tym, dla których pisał, jaśniejsze drogi w przyszłość. Rzekłbym, że ci poeci parafrazowali raczej szlacheckie, ciche, ukryte marzenia, niż tworzyli coś z ducha i krwi swojej. Bo i jakże sobie wytłomaczyć np. taką *poezyę* Padury:

„Ne bijtesia laćki dity,
Pyjte wyno u stoła:
Teper wremia wam sedyty,
Jak pid kryłom anheła,
Bo spys chmara na wraha.“ (Jakich? Gdzie?).

Bońkowski w takt ogólnego nastroju śpiewał:

De diwczyna—tam i dola,
De korszomka (karćzma)—*tam i wola!*

I oto przebrzmiało to wszystko — i bałagulstwo i kozakofilstwo, i chłopomania — i wiele innych marzeń rozwiało się również. Jakże się wiele ciśnie pod pióro na samą myśl o tem wszystkiem! Literatura nie jest wytworem sztucznym, dla niej nie dosyć bezwzględnego piękna i myśli, to organizm żyjący i na zasadzie czysto fizyologicznych potrzeb tylko wtenczas się rozwija, kiedy jest zasilany sokami swego gruntu, jak siła jej spoczywa w tych czynnikach, którym ona służy; celem więc dla niej i materyałem jest naród cały i jego życie, jego prace, jego cele, ideały i przyszłość. Taka literatura zrodziła się dopiero od lat kilkudziesięciu na Ukrainie, mając zaś na uwadze powyższe określenie, śmiem utrzymywać, że zrodziła się dopiero z T. Szewczenką (1814—1861). Nie chcę przez to powiedzieć, że nikogo przed nim nie było. Owszem, byli — nawet dwaj: Hułak Artemowski i Kotlarewski wysunęli się naprzód. Byli to ludzie wykształceni na wzorach klasycyzmu, nie umieli zaczerpnąć ze zdroju prawdziwej poezyi i zatonęli po uszy w tej mierności, która się nazywa —naśladownictwem. Artemowski, niegdyś profesor polskiego języka w Charkowie, parafrazował Horacego i tłomaczył, co wpadło pod rękę, a Kotlarewski przerobił *Eneidę*. Poszedł wprawdzie dalej, niż Hułak-Artemowski, bo sprobował tematów z życia ludu (*Natałka Połtawka, Czariwnyk*), ale nad pierwiastek humorystyczny nie więcej nie umiał zeń wydobyć. Obaj poprzestali skromnie — na bawieniu „zemlakiw.“ Niezaprzeczoną jednakże zasługą obu była praca nad wyrobieniem języka, który też doprowadzili do giętkości mowy ustnej.

Z klasycyzmu wpadła literatura ukraińska w *sentymentalizm*, który zresztą był ogólną cechą epoki romantycznej. Sentymentalnym kierunkiem odznaczyli się głównie Kwitka (Osnowjanenko), Czubiński, Metliński, Pisarewscy, Zabiełło, Eugeniusz Hrebenko, Osip Bodiański, Aleksander

---

*) W przekładzie: „Ponieważ prawo zmusza nas prowadzić rozprawy wydziału krajowego w języku niemieckim, proszę więc panów, abyście pozwolili mi mówić naszem narzeczem alzackiem, to jest tak, jak gęba od dzieciństwa przywykła (dosłownie: jak dziób mi wyrósł)... Zapewne łatwiej byście mię po francusku zrozumieli, ale, jak powiada piosenka: Gdy się nie ma, co się kocha, trzeba kochać, co się ma.“

Nawrocki i w. i. W tym samym czasie widzimy innych pisarzów i poetów: Tarasa Szewczenkę, Mikołaja Kostomarowa (*Jeremija Halka*), Michała Maksymowicza, Pantałejmona Kulisza.

Szewczenko stanął od razu samotnie. Nowością i prawdą tematów, wielkiem umiłowaniem nietylko ludu, ale wszystkiego, co jest ludzkie, siłą swojej liryki, potęgą i głębokością obrazowania odosobnił się mimowolnie. Wykarmiony w ubóstwie i walkach moralnych tem wszystkiem, czem żył lud siermiężny, nic dziwnego, że zrozumiał jego bóle i nadzieje i z genialnej swojej duszy wysnuwał pieśni tak potężne, uderzył w struny codzienne, ale tak bolące, że odczuto je i zrozumiano powszechnie. Człowiek, umiejący zaledwie czytać i pisać, zbliżony do ludu krwią i losami, nie mógł przylgnąć duszą ani do sentymentalizmu, ani do romantyzmu, kierunków, które wyrosły z pojęć chorobliwych, nic więc dziwnego, że od razu stworzył nową szkołę *literatury narodowej*. Szewczenko, śpiewak bólów pańszczyźnianych, człowiek prosty i niewykształcony—w naszem wyobrażeniu—grzeszył jednostronnością tematów, ale nie przesadą, chyba tam tylko, gdzie wprowadzał „panów.“ Gdyby znał ich, możeby i w nich jaką odrobinę dobrego wyszukał; ale on znał „panów“ tylko w stosunku pańszczyźnianym, za zasługę więc tylko może być mu poczytana ta odwaga, z jaką, ubogi i nieznany, rzucił rękawicę istniejącemu porządkowi rzeczy i zbrodnię śmiał napiętnować. Iluż to ludziom światłym braknie takiej odwagi!

Szewczenko dał początek *literaturze narodowej*. Niebogate rozmaitością były motywy jego utworów, ale bogate prawdą obrazów i kolorytu, bogate samorodnem poczuciem piękna. Po wykupieniu się swojem z pańszczyzny w r. 1838, przez stosunek z ludźmi wykształconymi, jak Kulisz, Kostomarow, rodzina księcia Repnina w Jagodynie, Szewczenko zrozumiał, że pocie nie dość jest opiewać łzy i bole ludowe i oto na jego wiejskiej lirze odezwała się nowa struna.

Ale Szewczenko — syn ludu, niespaczony wychowaniem i nauką, nie przylgnął do nikogo, wykarmiony tradycyami tego ludu wiedział, jakie męty pozostały na dnie zawiedzionych nadziei. Nie lgnął więc — ani on do fali, ani fala do niego. Czuł, że naród, pomimo mrzonek wielu a wielu, musi zostać samym sobą. Myśl niespokojna szukała jakiegoś rozwiązania tych zagadek i oto stosunek z Kostomarowem doprowadził go, do uchwycenia się, jak deski zbawienia, myśli o federacyi słowiańskiej, która dałaby miejsce pośród siebie i Ukrainie. Było to (istniejące do r. 1847) stowarzyszenie św. Cyryla i Metodego, zawiązane w celu podniesienia oświaty między ludem.

Krótka ale płodna działalność Szewczenki zyskała mu olbrzymią popularność, nawet i u ukraińskich polaków. Młodzież wytrzeźwiona z bałagulstwa i chłopomaństwa wzięła się do tłomaczeń; wystąpili na tem polu: Leonard Sowiński, Syrokomla, Gorzałczyński.

Powiedzieliśmy nie bez powodów, że Szewczenko zajął odrębne stanowisko w literaturze ukraińskiej, odrębne geniuszem swoim, źródłem natchnienia i wywołaniem na arenę literacką miernoty, naśladującej go. Nikt się do niego już potem nie zbliżył i nie prędko zbliży się zapewne. Ale Szewczenko, zbudziwszy cały naród swoją pieśnią do życia i pracy, ma jeszcze tę zasługę, że skupił koło siebie wszystkie siły umysłowe i moralne, które złożyły się na utworzenie *krytycznego kierunku*, brakującego dotychczas. Przedstawicielami tego kierunku w nauce byli głównie: Pantelejmon Kulisz, Mikołaj Kostomarow i Antonowicz, a w literaturze: Jan Lewicki, Michał Starycki i M. Kropiwnicki.

M. Kostomarow (Jeremi Halka) jako pisarz poeta i pisarz ukraiński ma tylko bardzo podrzędne znaczenie a w swoich utworach dramatycznych: *Sawa Czałyj* jakotež tragedyi. *Perejasławska nicz* niepotrzebnie sięga poza utarte formuły narodowościowych nienawiści, których sporo domieszał wszędzie. Nie chciał o tem wiedzieć, że nienawiść nie jest pierwiastkiem twórczym, ale niszczącym. Tłem jego tragedyi—krwawa przeszłość, którą on lubi wywoływać i rozdrażniać sztucznymi efektami z ujmą prawdy historycznej. Widać, że to człowiek, należący wykształceniem do innej sfery, niż ta, którą opisuje, że żywa nić nie wiąże go z ludem. On stoi zawsze, a przynajmniej stara się oto, na jakimś chwiejnym ogólno-ludzkim gruncie; w lirycznych drobiazgach grozi Zachodowi fałszywym patosem, błotem bryzga na Helladę za to, że „na tebe hlediuczy, ne baczyły sami sebe“ i prorokuje zjawienie się *takiego* Prometeusza, który Zachód zniszczy... Daleko większą wartość mają jego prace historyczne, pisane po rosyjsku: *Hetmaństwo Wyhowskiego, Historyczne znaczenie twórczości w pieśni południowo-rosyjskiej*, *Mazepa* monografia, *Bohhan Chmielnicki* i inne. Nie wolny od uprzedzeń i nienawiści w historyi jak i w poezyi, miał przynajmniej tę zasługę, że, badając krytycznie dzieje Ukrainy przygotowywał drogę dla prawdy, którą i on dostrzegał mimowolnie. (D. n.).

F. Rawita.

LIBERUM VETO.

Historya o pewnym kupcu z New-Yorku.—Szybkość wznoszenia się i spadania. -- Zupełnie jak u nas. — Dziwne metamorfozy. — Zysk żon w bankructwach mężów.—Handel zmienia płeć. — Dęby i leszczyny.— Wpływ odezwy poznańskiej.—Na maskaradzie.—Panna Mackay.—Uroczystość narodowa.—Wszelkie sfery. — Przemówienia i fanfary. — Bohater narodowy. — Doktoryzacya hrabiego.—Pokłony służalców.—Bal z „ojczyzną.“

Jedno z pism zagranicznych opowiada następującą farsę:

Pewien kupiec w New-Yorku przez szczęśliwe obroty zarobił w ciągu 14 dni dwa miliony dolarów. Nazajutrz całą sumę zapisał żonie, a trzeciego dnia zaprosił przyjaciół i znajomych na wiejską biesiadę. Towarzystwo zebrało się przed domem milionera o godzinie 11 a o 12 wyruszyło w ozdobnych powozach. O 1 odbyło się śniadanie w lesie; o 2 — przedstawienie umyślnie dla tej uroczystości napisanych sztuk; o 5—przejażdżka po jeziorze i sztuczne polowanie na brzegu. O 6 — kwartet męski wezwał gości do obiadu w kosztownym namiocie — na łące. Stoły uginały się pod ciężarem wyszukanych potraw a najdoskonalsze wina wszystkich lądów i czasów płynęły potokami. Przy ostatniej potrawie każdy otrzymał cukierek z biletem tysiącodolarowym w środku. Z tego żartu śmiano się do godziny ósmej, kiedy zapalono wspaniały fajerwerk, w którego „bukiecie“ zabłysło imię gospodarza, wypisane barwnemi kulkami światła. O 9 orszak powrócił do New-Yorku na kolacyę. Przybywszy przed olbrzymi pałac gościnnego kupca, wszyscy zdziwili się, znalazłszy drzwi zamknięte i w oknach ciemno. Nawet tablica z firmą była zdjęta i zastąpiona inną. Jeden z 50 komisantów stał u wejścia dla objaśnienia zmiany. Firma zbankrutowała. Gdy goście pożegnali się, komisant odpowiedział:

— Zaledwie towarzystwo odjechało, firma, skutkiem upadłości jednego domu w Filadelfii, zaczęła się chwiać. O 12 godz. nie mogła się już utrzymać. O 1 przybiegli wierzyciele; o 2 zostali $2^3/_8$ za 100 pokryci. O 3 sprzedano ruchomości. O 5 dom został zamknięty. O 6 wprowadził się nowonabywca, o 7 otworzył interes, o 9 zamknął kantor i położył się spać.

I oto biedny człowiek stał bez dachu na ulicy. Ażeby przynajmniej na noc znaleść przytułek, pojechał strapiony do dworca kolei, wynajął wagon sypialny i zawiózł rodzinę do krewnych. Tam obecnie się znajdują. Mężowi pomaga żona, która z procentów od dwu milionów nędznie żyje.

Tak prędko idzie w Ameryce!

Dotąd opowieść. Jej autor był bardzo naiwnym, sądząc, że zmyślił coś nieprawdopodobnego i że w karykaturze przedstawił życie amerykańskie. Gdyby przyjechał do nas, przekonałby się, że podobne zdarzenia są tu bardzo zwykłe. O godzinie 11 kupiec wiezie gości na majówkę z ogniami bengalskimi, o 12 jego firma się chwieje, o 9 wieczorem niknie bez śladu, nazajutrz mąż rozpoczyna nędzne życie z procentu od milionów żony—Jezu Nazarejski, jakie to powszednie w Warszawie! Dziwne są kaprysy natury: w miłości upada tylko kobieta, w handlu—tylko mężczyzna. Z najokropniejszego bankructwa żona wychodzi zawsze bogatszą, niż była w najświetniejszych chwilach zamożności. Nawet wtedy, gdy nie wniosła posagu, gdy małżonek skąpił jej na tiurniurę, z jego upadku łaskawy los wydobywa dla niej bogate wiano. Wczoraj nikt na jej weksel nie dałby kopy jabłek, dziś jest dziedziczką poważnego kapitału. Zasnęła ubogą żoną bogacza, budzi się bogatą żoną bankruta. I jakaż czarodziejska siła sprawia te cudowne przemiany? Znana, jak świat stara — *symulacya*, dozwolony i powszechnie używany kosmetyk handlowy. Sposób przyrządzania go bardzo prosty: przed zawieszeniem wypłat przepisuje się majątek na imię żony. Maluczko a nasz *handel* będzie rodzaju... żeńskiego. Po dowody odsyłam czytelnika na Giełdę lub do sądów.

Nie zbierze on tam jednak wszystkich. Gdy się wali dąb—słychać zdaleka, ale gdy się wywróci krzaczek leszczyny, zauważą to ledwie ukryte pod nim czujne zające. Takich zaś krzaczków tegoroczny karnawał nakładł dosyć. Zbankrutują w poście kopami: urzędnicy, lekarze, adwokaci, ziemianie itd., którzy — dogadzając odezwie poznańskiej — co drugi dzień tańczyli nad ranem białego mazura! Udaje mi się czasem trafnie zgadywać: i w tym wypadku zgadłem, że owa odezwa wzbogaci tylko liczbę głosów, wołających na puszczy. Najlepszym okazem nieposłuszeństwa—jestem ja sam. Trudno—byłem na ostatniej maskaradzie, i to nie dla zasilenia kasy artystów teatralnych, nie dla wygrania czegoś w tomboli, nie dla bezpieczeństwa mojej Ewy, ale dla rozrywki własnej. Wiedziałem, że mnie żadna maska nie zaintryguje ani tajemnicą miłosną, bo jej nie mam, ani kolacyą, bo jej jako „zmateryalizowany pozytywista“ z córami Koryntu nie jadam, ale byłem pewny, że śród 1000 ludzi wesołych i ja się śmiać będę. Tymczasem — znalazłem tłum spocony, posępny, a jeśli w nim dostrzegłem kogoś rozbawionego, to zaraz mnie objaśniano, że ów szczęśliwiec wynajmuje sobie „piękne maseczki“ po 5 rs. za sztukę, a niektórzy używają podobno do tego przebranych posłańców publicznych. Źle—myślę sobie—usnę na brudnej ławce, jeśli sam nie wezmę udziału w zabawie. Spotykam kryształowej czystości idealistę.

— Co słychać?

— Nic, a o pannie Mackay pewno pan wiesz.

— O jakiej pannie Mackay, córce amerykańskiego milionera?

— No, tak, jest tu na maskaradzie.

— Co pan mówisz!

— To, co nie ulega wątpliwości. Wiadomo panu, że ciotka jej zaślubiła jakiegoś arystokratę polskiego i właśnie przywiozła ją do Warszawy.

— Na Boga, pokaż pan, która to?

— Ta niska, co chodzi pod rękę z Sarasatem.

Idealista rzucił się ku towarzyszce muzyka hiszpańskiego i wpił w nią swój wzrok zaiskrzony. Niedługo ciągnęli za nimi, szepcząc między sobą, prawie wszyscy obecni idealiści, a niewtajemniczona w tę sprawę publiczność sądziła, że ich tak magnetyzuje... Sarasate.

Gdyby komuś ta opowieść wydała się wątpliwą, niech posłucha innej, która jest całkiem wiarogodną. Proszę uważać — powtarzam ją dosłownie z „poważnego“ dziennika: „Ulica... była nadzwyczaj ożywioną wczoraj po południu. *Tłumy* publiczności, *w powozach i pieszo*, zdążały do gimnazyum św. Anny, gdzie porządek utrzymywała straż ogniowa, ochotnicza i miejska. O godzinie trzy kwadranse na 3 przybyła najbliższa rodzina kandydata i udała się do amfiteatru, zapełnionego już szczelnie publicznością *wszelkich sfer*. Sala przystrojona zielenią. Dla senatu i profesorów uniwersytetu przeznaczono miejsca na podwyższeniu. W sali znajdują się także: bisk. Dunajewski, bisk. Krasiński, JE. Paweł Popiel, prezes Akademii dr. Majer, Matejko i i. Kandydat pojawił się w todze, *powitany fanfarą*.“ Przemawia do niego prof. Bobrzyński, kreśląc trudy, oczekujące bohatera „w służbie dla ojczyzny.“ Z kolei czci go rektor, poczem „muzyka gra hymn *ludowy*.“ Wreszcie odzywa się sam *on* i dla uniknięcia nieporozumień oświadcza, że przedewszystkiem wiele zawdzięcza matce. Następują ceremonie—a nakoniec otwiera usta delegat cesarski, hr. Kazimierz Badeni: „Przypadło mi znowu w udziale spełnić najwyższe polecenie Jego c. k. apostolskiej Mości... Pragnę, aby uroczystość dzisiejsza była przedewszystkiem *wskazówką i zachętą* dla tych, którzy wstępują do uniwersytetu bez ściśle określonego zamiaru oddania się pewnemu zawodowi.“ Wręczając zaś bohaterowi pierścień brylantowy, dodał: „Winszuję ci tego zaszczytu, którego dopiąłeś, i *dziękuję* przedewszystkiem za *przykład*, który dałeś innym!“

Gdzie i co to było? — pytacie. Na jaką to uroczystość zgromadziły się „tłumy,“ „wszelkie sfery,“ dostojnicy państwowi i kościelni? Komu grano „fanfary,“ kogo tak wysławiali profesorowie uniwersytetu, rektor i delegat cesarski? Jak się zwie ów mąż, który zasłużył na takie odznaczenie, którego „rodzice mogliby stawiać za przykład swym synom?“

Uspokójcie się, mili bracia, to tylko młody hr. Andrzej Potocki doktoryzował się w Krakowie. W tej chwili słyszę protest tysiąców ubogiej młodzieży polskiej, która otrzymała stopnie doktorskie i uświetniła swe imiona, a nikt jej nie grał nawet na katarynce, nikt nie „dziękował.“ i nikt „za przykład“ nie stawiał. Darujcie, panowie, ale trzeba było skorzystać z „przykładu“ i urodzić się śród hrabiów. Wtedy wasze matki byłyby bez wyjątku „zacnemi matronami polskiemi,“ wasi ojcowie — „czcigodnymi mężami,“ wy — przed dojściem do pełnoletności „zasłużonymi ojczyźnie,“ wtedy sławionoby waszą mądrość, cnoty, bale, konie, psy, metresy—wszystko. Dziś wasza matka jest „typem“ dla komedyi, ojciec — „filistrem“ lub pijakiem, a wam nie pozostaje nic innego, tylko udać się na arystokratyczną doktoryzacyę i zawołać do zgromadzonych na nich „różnych sfer:“ Kiedyż wy przestaniecie zginać bałwochwalczo mądre i głupie głowy przed złotym cielcem! Kiedyż w sobie i innych uszanujecie ludzi, kiedy ich zrównacie, nie będziecie ślepnąć przed „rodami“ i poniewierać dla nich swej godności!

A co, czy intryga z panną Mackay w naszym idealnym świecie udać się nie mogła? Dla tej panny byłoby to dziwnem, a dla nas jest zupełnie naturalnem, że *Czas*, organ kliki, pociągnął za sobą kilka pism, które również z możnowładnej biesiady zrobiły święto narodowe z „ojczyzną.“ To zupełnie w stylu naszym, który w socyologii lubi przedewszystkiem architekturę gotycką a zwłaszcza jej wysokie wieże i wieżyczki. Co ma wspólnego „ojczyzna“ z doktoryzacyą hr. A. Potockiego — o to nikt nie pyta. Ta potrawa na stołach wielkopańskich być musi, a dzieje się z nią tak, jak z każdą inną: arystokraci ją zjadają, a lud patrzy przez okna, podziwia jej smaczny wygląd i krzyczy: hura! Na szczęście tym ludem w obecnej biesiadzie jest rzesza dziennikarskich Falstafów.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Niebezpieczeństwo alarmowania. — Teorya ekonomiczna Swojego. — Niski kurs rubla jako ratunek ziemian. — Teorya finansowa biednego urzędnika.—Przez wyrachowanie. — Kupcy weneccy i spółki ziemiańskie.—Projekt *Inżenieryi i Budownictwa*. — Statystyka organisty. — Bal częstochowski. — Nowiny.—Sprostowanie.

Naczelnik ochotniczej straży ogniowej w Zamościu, dla przekonania się o jej czujności, według znanego i nam zwyczaju, zaalarmował ją w południe. Ostateczny rezultat był taki, że jeden z mieszkańców zaskarżył gorliwego naczelnika o „naruszenie publicznego spokoju,“ drugi zaś, obywatel ziemski, któremu na godzinę wyprzężono konie z bryki — o „rabunek.“ Wypadek ten powinien być wyrysowany w winiecie tej rubryki. Niepodobna u nas dotknąć krytycznie stosunków prowincyi i wezwać jej do czujności, bez narażenia się na skargę o naruszenie „spokoju publicznego“ lub „rabunek.“

Największej litości godne są pisma prowincyonalne. Niech które z nich odważy się wspomnieć, że w jakimś folwarku płytko orzą lub rzadko sieją, że ścięto przy drodze piękną brzozę, musi natychmiast otworzyć swe kolumny długiej i zawziętej polemice, w której i „dobro kraju“ i „posłannictwo“ i „obowiązki obywatelskie“ paradują w pełnym rynsztunku. A co znaczy zamknąć upusty dla tych elegij—okazało swym zgonem *Echo łomżyńskie*. Organ prowincyonalny musi być takim, jakim go mieć chcą ci, co posiadają pieniądze na prenumeratę. Redakcya z przekonaniami — niech wędruje do Warszawy!

Jakkolwiek przeto radbym być sprawiedliwym, przypuszczam, że nie uniknę ani „zakłócenia spokoju publicznego,“ ani „rabunku.“

Oprócz dolegliwości chronicznej, ziemianie nasi mają obecnie dwie obawy: czy łagodna zima nie zniszczy zasiewów i czy... rubel nie podniesie się w wartości. Pierwszy kłopot jest zrozumiałym, drugi tłomaczy się tak w *Korespondencie płockim*. „Gdyby kurs rubla za granicą — powiada tam *Swój* — miał się podnieść do jego nominalnej wartości, a ceny zboża pozostały te same, *większość* obywateli ziemskich naszej okolicy *nie byłaby w możności utrzymania się przy ziemi*.“ Warto było żyć każdemu, kto te słowa przeczytał, dla doczekania takiej... ekonomii politycznej. Dobrobyt ziemian, a nawet ich istnienie zależy od upadku waluty krajowej! Szkoda, że tę prawdę wygłosił *Swój* i że ona nie wyrosła np. w Sudanie. Szan. *Swój* zapomina o tem, że on owo poniewierane na giełdach ruble nietylko bierze za zboże, ale także nimi płaci za wszystkie swoje potrzeby, że więc ich niski kurs, będący w jednej pozycyi rachunku zyskiem, w innych odbija się daleko większemi stratami. Gdyby to można wziąść za korzec pszenicy i żyta więcej, a za łokieć płótna, kortu, za funt żelaza, mięsa, pieprzu, oddać mniej, niż zwykle, gdyby ceny produktów fabrycznych i materyałów z zagranicy sprowadzonych nie rosły równolegle z cenami płodów rolnych, jeszcze byśmy od biedy przyjęli teoryę ekonomiczną *Swojego*, bez względu na interes tych, którzy nie sieją i nie orzą, a chleb jeść muszą; ale gdy kurs pieniędzy oddziaływa na wszystkie dziedziny życia — trudno nam na westchnienie obywatela płockiego odpowiedzieć współczuciem.

Trudno również zgodzić się na teoryę finansową, którą inny współpracownik *Korespondenta płoc.* (z Ciechanowa) broni potrzebujących kredytu urzędników. Za 100 rs. płaci się tam procentu 5 rs. miesięcznie. „Zapyta kto, dlaczego (biedak) tak dużo pożycza? Odpowiem, że naprzód przez *wyrachowanie*, a powtóre przez niemożebność zaciągnięcia mniejszej pożyczki — zaraz to wytłomaczę. Pożyczając mniejszą sumę, bezwarunkowo płaci lichwiarzowi większe procenty (np. od 25 rs. 2). Dobroczynny kredytor (w chałacie) wie doskonale, że 25 rs. biedny urzędnik może mu zwrócić najdalej za trzy miesiące, więc niema sposobności długiego wyzyskiwania, a zatem z trudnością udziela pożyczki, gdy tymczasem dając 100 rs., jest pewnym, że mu się ofiara prędko z rąk nie wydrze, że zamiast 100, będzie miał w końcu 200.“ Proszę uważać: roztropny dłużnik, ażeby nie zapłacić 2 rs. od 25, pożycza *przez wyrachowanie* 100 i płaci 5 rs. — a zatem — jak się wyraża jego obrońca — o 3 rs. mniej (bezwzględnie o 3 więcej) i *przez wyrachowanie* dług sobie podwaja. Dodać należy, iż ci urzędnicy w szponach lichwiarzów, także pewnie *przez wyrachowanie*, nie chcą zapisywać się do kasy zaliczkowo-wkładowej przy rządzie gubernialnym płockim. Zaiste, owo *wyrachowanie* godnem jest poprzedniej teoryi zysków na upadku rubla!

Toż samo pismo poznajamia nas z inną postacią kredytu wiejskiego. Wiadomo wam wszystkim, którzy umieszczacie swe kapitały w bankach warszawskich na 4 lub 5 procent, że one służą także na pożyczki lichwiarzom, którzy temi pieniądzmi pompują nieobliczone korzyści ze swych ofiar.

Otóż podobne operacye (przeciwko którym obmyśla obecnie środki Bank Handlowy) odbywają się na prowincyi. „P. X. — opowiada przykładowo *Korespondent płoc.*— wypożycza rubli 20,000 na 9% rocznie upiorowi, czyli dostaje procentu rs. 1,800; ten ostatni puszcza sumę pożyczoną w obieg na weksle czteromiesięczne, biorąc procentu w stosunku 18% rocznie, czyli otrzymuje rs. 3,600, zyskuje więc już na czysto rs. 1,800 na nie swoich pieniądzach. Ale to za mało. Każdy otrzymany weksel reeskontuje w oddziale Banku Polskiego, gdzie płaci w stosunku 6½%, czyli znów zyskuje na rs. 20,000, na czysto rs. 2,300; za otrzymane w banku pieniądze dyskontuje nowe weksle, które w dalszym ciągu reeskontuje u bankiera warszawskiego na 9% wraz z prowizyą i znów zyskuje tu na czysto rs. 1,800; przypuszczam, że stracony czas na dyskonto, reeskonto i przesyłkę weksli, oraz ograniczony kredyt, nie pozwala mu więcej dokonać obrotów, jak jeszcze dwa czteromiesięczne, na których zyskuje rs. 900. Nie licząc więc procentów od procentów, upiór zyskuje na sumie p. X. na czysto rs. *6,800*, gdy tymczasem właściciel sumy, będącej źródłem i podstawą tych operacyj, otrzymał tylko rs. *1,800*. Ale to nie dosyć, całe bowiem ryzyko, przy tak małym stosunkowo zysku, ciążyło na p. X.; upiór bowiem jest człowiekiem, który poczuwszy zdaleka zapach krachu, pomimo lasów na wycięcie i dóbr na parcelacyę kupionych, potrafi wczas ukryć swoje fundusze i ogłosić się niewypłacalnym, jak tego dał już dowody, osadziwszy na piasku wielu przebieglejszych wierzycieli, niż p. X., któremu wtedy nie pozostanie nic innego do zrobienia, jak oprawić rewers upiora w czarne ramki, pokryć go krepą żałobną i zawiesić na wieczną pamiątkę swych operacyj finansowych. Biednemu p. X... nie pozostanie nawet ta pociecha dusz znękanych, aby przed współziemianami pożalić się na wro-

gie losy i przewrotnych ludzi, bo wątpię, aby w ich sercach współczucie obudził.“

Tym sposobem „kapitaliki ziemiańskie“ żywią „kupców weneckich.“ Za skuteczny przeciw nim środek organ płocki słusznie uważa komisowo-zaliczkowe spółki ziemiańskie, z których pułtuska, według niego, rozwija się pomyślnie, gdyż w ciągu półrocza miała obrotu milion rubli i dała swym uczestnikom znaczne zasiłki.

Redakcya *Inżenieryi i Budownictwa* zaproponowała władzom Towarzystwa Kred. Ziems. zebranie materyału do statystyki bogactw mineralnych kraju. Jedno z pism, dostające obowiązkowego ataku wściekłości przy wszelkich uwagach, czynionych po za niem tej instytucyi, odrzuciło projekt jako niedorzeczny i do wykonania niemożliwy. Usunąwszy pianę z tej repliki, przyznać trzeba, że zbadanie bogactw mineralnych kraju przedstawia dla Towarzystwa daleko większe trudności, niż statystyka rolna. Wymaga ono bowiem specyalistów— i to wielu specyalistów. Powierzać zaś takiego zbadania byle komu nie podobna, gdyż otrzymalibyśmy takie wykazy, jakim niedawno wzbogacił statystykę krajową ciechanowski organista, według którego (r. 1883) związków małżeńskich zawarło w parafii: 18 mężczyzn, *21* kobiet, *razem* zaś *39*, czyli niektórzy mężczyzni mieli po kilka żon, a w 21 związkach nie było ani mężczyzn, ani kobiet!

Balów i kradzieży przesunęło się w ostatnich tygodniach na prowincyi tyle, że nie zdołałbym ich nawet wyliczyć. Najzaszczytniej wyróżnił się bal w Częstochowie, na który bilety sprzedawano tylko „osobom moralnego prowadzenia się.“ O takie osoby w Częstochowie trudniej, niż w innych miastach, ale też trzeba to zastrzeżenie dobrze rozumieć. Szło o... arystokracyę!!

Nakoniec małe sprostowanie. Niedawno donieśliśmy o głodzie skutkiem klęsk letnich we wsiach: Krzczonów, Borzęcinek i Kosarzew górny. *Dziennik warsz.* zaprzeczył faktowi i wieści, jakoby na biednych zbierano składki. Otóż zwracamy uwagę, że doniesienie to przeszło przez miejscową *Gazetę lubelską*, przez wszystkie pisma warszawskie, a *Kuryer warszawski* wydrukował odezwę, wzywającą do składek.

J. A.

Szczekociny. Okoliczne wsie odznaczają się względnie wysoką oświatą, bo aż 35% umie czytać, chociaż z 5 wsi w dwu tylko są szkoły. Kobiety w dążeniu do oświaty niewiele ustępują mężczyznom. Piśmienne matki same uczą dzieci. Z pomiędzy ludu wychodzą nawet pewnego rodzaju mecenasi wiedzy, np. jeden zamożny włościanin zaprenumerował dla mieszkańców sąsiednich wsi *Gazetę Świąteczną*.

Kielce. Przed paru miesiącami znaleziono około Łodzi zamordowaną dziewczynę. Obecnie śledztwo wykryło, że jest to mieszkanka Kielc, Hana Sieczkowska. Wyjechała ona z niejakim Litauerem, który podawał się za jej narzeczonego, a poprzednio poszukiwał sobie narzeczonej pomiędzy służącemi. Litauer, to osobistość bez określonych zajęć. Karany był za fałszerstwo. Życie Sieczkowskiej ubezpieczył on na 4000 rs. Do zamordowania jej nie przyznaje się. Okoliczności tej zbrodni dziwnie przypominają sprawę Schenka w Wiedniu — nie dajemy, widocznie, uprzedzić się.

Końskowola. Na cmentarzu żydowskim obok świeżo rozkopanej mogiły znaleziono zwłoki złożonego tam dziecka z obciętemi nogami, rękami i wyłupionemi oczami. Niema wątpliwości, że występek ten spełniony został dla jakichś zabobonnych praktyk.

Słupca. W lesie, w pobliżu granicy, znaleziono kobietę z dwojgiem niemowląt, a niepodal w rowie trupa jej męża. Był to niejaki Kubicki, który przed 40 laty wysiedlił się do Prus, tam się ożenił i pracował. Będąc parobkiem z winy właściciela majątku poniósł ranę i otrzymywał za to 18 talarów rocznie. Ale p. Nasemu (właścicielowi) sprzykrzyło się płacić pensyę, namówił więc landrata i pozbyto sią Kubickiego przez wysłanie go do Królestwa. Według opinii lekarzy nieszczęśliwy zmarł z zimna i wycieńczenia; żandarmi pruscy przewieźli go bowiem wprost przez granicę i wyrzucili w lesie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 27 lutego.

Sprawy egipskie. — Bradlaugh znowu nieprzyjęty. — Zły humor Bismarka. — Uchwała Izby waszyngtońskiej.

Pokojowe posłannictwo Gordona nie przynosi spodziewanych rezultatów. Pomimo korzystnych i szczodrze sypanych obietnic, powstańcy posuwają się naprzód i niedawno właśnie zdobyli twierdzę Tokar. Inaczej zresztą być nie może. Raz poruszone, sfanatyzowane masy ludowe nie składają tak łatwo oręża dopóki są zwycięskie. Telegramy doniosły nawet, że Gordon poczynił pewne ustępstwa w zakazie handlu niewolnikami; wiadomość ta wszakże potrzebuje potwierdzenia, chociażby dla tego, że on właśnie był najgorliwszym tępicielem niewolnictwa w Sudanie. Z Azyi dochodzą wieści również niepomyślne dla polityki zewnętrznej Anglii. Przykład merwskich turkmenów, przyjmujących poddaństwo rosyjskie oddziałał na sąsiednie hordy i kilka plemion neutralnych, zamieszkujących pogranicze Afganistanu zamierza pójść za ich przykładem. Dwa współzawodniczące mocarstwa zetknęły się więc już prawie swemi granicami w środkowej Azyi, dzieli ich tylko Afganistan, ale słaba to zapora.

Pomimo tych niepowodzeń stanowisko Gladstone'a w parlamencie nie zachwiało się. Siłą jego są zapowiedziane reformy wyborcze, a większość narodu bardziej zwraca uwagę na sprawy wewnętrzne, aniżeli na pustobrzmiące słowa honor i interesy Anglii, któremi i tak już dość długo pozwoliła wodzić się za nos przeróżnym szarlatanom.

Sprawa Bradlaugha wstąpiła w nową, niewiadomo którą już z kolei fazę. Trudno nawet oryentować się w mnóstwie szczegółów tej ciekawej walki z przesądami i zachowawczym formalizmem, dość jednak, że deputowany Northamptonu znowu nie został przyjęty do parlamentu.

Książę Bismark dał uczuć swój zły humor—amerykanom. Od pewnego czasu Stany Zjednoczone są u niego w niełasce, zabronił przywozu amerykańskiej wieprzowiny, a teraz w brutalny sposób odrzucił rezolucyę Izby reprezentantów w Waszyngtonie, wyrażającą parlamentowi niemieckiemu współubolewanie z powodu śmierci Laskera. Jako przyczynę odrzucenia podał kanclerz treść owego komunikatu, zawierającą przychylną ocenę politycznej działalności zmarłego, idącej nieraz, jak wiadomo, wbrew zamiarom rządu, nie mógł więc on przesłać jej parlamentowi, gdyż w ten sposób solidaryzowałby się z wypowiedzianemi w odezwie poglądami. Najciekawszem jest jednak w tej sprawie, że kanclerz, według brzmienia konstytucyi niemieckiej, nie miał prawa samowolnie przesądzać faktu, czy rezolucya powinna być złożoną w parlamencie, czy nie, należy to bowiem do Rady związkowej. Ale ks. Bismark nie zwykł sobie robić ceremonij z konstytucyą, a potulni niemcy i nie na takie naruszenia jej zgadzali się nieraz.

Izba waszyngtońska wydała w tych dniach i drugą uchwałę, której wpływ może być dość ważnym w czasie powszechnego prawie zapanowania praw wyjątkowych. Głosi ona, że lud amerykański nie zniesie i nie pozwoli na zmiany w prawie udzielania schronienia zbiegom politycznym nawet w razie, gdy popełnili występki ścigane przez prawo karne, ponieważ sądy państw żądających ich wydania, nigdy nie mogą być dosyć bezstronnymi. Jest to odpowiedź na nawoływania niemieckich i austryackich gazet półurzędowych, żądających ogólnej konwencyi międzypaństwowej o wydawaniu przestępców politycznych.

Berlin. Na jubileusz otrzymania Orderu św. Jerzego przez cesarza Wilhelma przybyła deputacya z Rosyi, w której przyjęli udział W. Ks. Michał Mikołajewicz, generał Hurko, hr. Szuwałow i kilku oficerów. Cesarz niemiecki obdarował deputacyę orderami, między innymi gen. Hurko otrzymał order Orła Czerwonego I klasy.

CUDZE GŁOSY.

Przemówienie. Pomocnik generał-gubernatora wileńskiego do spraw cywilnych, generał Kochanow, dając posłuchanie urzędnikom, wypowiedział swoje zapatrywania w kwestyi zarządzania krajem. Oto jego przemowa według *St. Petersburskija Wiedomosti:*

„Witam panów z nadzieją, iż znajdę w nich ludzi prawdziwie rosyjskich i czynnych współpracowników. Żeby zaś w przyszłości nie było pomiędzy nami nieporozumień, zaraz na wstępie powiem jaką obrałem drogę. We wszystkich urzędnikach pragnę widzieć rosyan z rozumu i serca, ludzi niewstydzących się tutaj imienia człowieka rosyjskiego, i pilnie pracujących w tym kierunku. Kto się wstydzi kierunku rosyjskiego, ten nie jest dla mnie ani współtowarzyszem, ani współurzędnikiem. Pójdę po jednej drodze tylko z ludźmi rosyjskimi, dumnymi z takiego przeświadczenia. Jeżeli na swej drodze spotykamy ludzi innego kierunku, chociażby nawet jadących w złotym rydwanie, to rydwan ten musi usunąć się z drogi, jeżeli zaś nie—to niech raczej przejdzie po nas, bo umarli nie znają sromu.“

Reforma. W sprawie zniesienia czasowej komisyi do spraw włościańskich w Królestwie Polskim *Now. Wremia* pisze:

„Wkrótce ma być roztrząsany projekt ministeryum spraw wewnętrznych, dotyczący reformy wydziału ziemskiego, oraz istniejącej w temże ministeryum czasowej komisyi do spraw włościańskich Królestwa. Sprawa polega na tem, iż z chwilą urządzenia specyalnego wydziału do spraw włościańskich w senacie, świeżo zreorganizowanego w specyalny departament senatu; zakres kompetencyi wydziału znakomicie się uszczuplił, gdyż wszelkie kwestye sporne zaczęły przechodzić pod opinię bezpośrednią senatu, z tychże względów nastąpiło zmniejszenie czynności w komisyi do spraw włościańskich Królestwa. Skoro więc oddawna było pożądanem skoncentrowanie sprawy włościańskiej w jednych rękach, przeto ministeryum spraw wewnętrznych uznało za właściwe znieść wspomnianą komisyę, w miejsce zaś niej utworzyć w wydziale ziemskim specyalny oddział do spraw włościańskich Królestwa, oraz zmniejszyć etat wydziału ziemskiego, dodając mu tylko kilku urzędników dla oddziału. W ten sposób skarb osiągnie znaczną oszczędność.“

Bójka dziennikarska. *Diło* pisze:

„Kawiarnia wiedeńska we Lwowie była w tych dniach świadkiem niezwykłej w naszem mieście rozprawy o obrazę honoru między dwoma dziennikarzami, p. Monczałowskim, współpracownikiem *Słowa*, i p. Gniewoszem, redaktorem *Strażnicy*, jako stroną pozwaną. P. Gniewosz w ostatnim numerze swego pisma, nadmieniając o przejściu p. Monczałowskiego i p. Leokadyi Jakliczówny na obrządek wschodni, wyraził się o obojgu

w sposób obrażający. P. Monczałowski postanowił ująć się za panną J. i w kawiarni wiedeńskiej znieważył czynnie p. Gniewosza. P. Gniewosz ze swej strony użył nieodstępnej swej „strażnicy“— kija wiśniowego. „Tak Gniewosz bije“—temi słowy zakończył on zapłatę „pięknem za nadobne.“ Oryginalna ta sprawa honorowa między dwoma dziennikarzami nastręczyła stolicy nadpełtwiańskiej przedmiotu do zabawnych rozmów.“

Dziwna rzecz, dodaje od siebie *Gazeta polska*, z której wzięliśmy ten opis, że pisma polskie donosząc o skandalu lwowskim, bynajmniej nie szczędziły p. Gniewosza, a *Diło* nic okazuje wcale sympatyi dla p. Monczałowskiego. Wart pałac Paca, a Pac— pałaca.

CZY PIERWIASTKI CHEMICZNE
są istotnie pierwiastkami.

Na posiedzeniu sekcyi chemicznej „Brytańskiego Towarzystwa popierania nauk“ w Southport uczony J. H. Gladstone miał mowę o starodawnych „żywiołach“ i nowoczesnych „pierwiastkach“ chemicznych, z której wyjmujemy w streszczeniu główny ustęp, dotyczący niezmiernie ciekawego pytania czy ciała, które dziś uważamy jako proste, są rzeczywiście proste. Czy w budowie swojego wewnętrznego składu bardzo się różnią od tych, o których wiemy, że są związkami chemicznymi? Czy np. fluor, chlor, brom, jod co do swej natury przedstawiają istotną różnicę ze złożonemi halogenami: cyanem, siarkocyanem, żelazocyanem i i? Czy metale lit, sod, potas są w gruncie rzeczy czemś innem wielce od alkalicznych zasad: amonii, etylaminu, dietylaminu itp.? Żaden rozważny chemik nie odpowie na te pytania: „tak,“ ale, też nie odpowie i: „nie.“

Gladstone rozbiera je z trzech stron, powołując się na świadectwa: spektroskopu, wąg atomowych i gatunkowego załamania światła.

Co do spektroskopu spodziewano się zrazu, iż narzędzie to rzuci wiele światła na wewnętrzny skład pierwiastków i odkryje jakąś wspólną część składową dwóch z nich albo i kilku; wyobrażano sobie np., że widmo liniowe pary bromowej lub jodowej może się składać z linij, które chlor daje i pewnych jeszcze innych. Ale dotąd takie nadzieje nie ziściły się, chociaż to wcale nie obala przypuszczenia, iż ciała t. z. proste są złożonemi, bo w miarę postępu badań okazuje się coraz wyraźniej, że widmo związku chemicznego wcale nie powstaje ze złożenia w jedną całość widm jego składników.

Mówiono dalej w formie zarzutu, iż linie widmowe niektórych pierwiastków (jak np. żelaza) z powodu swej wielości zdradzają skład wewnętrzny daleko bardziej złożony niż inne metale, które (np. magnez) dają widmo proste. Ależ bardzo dobrze również wystawić sobie można, że pochodzi to ze skomplikowanego uporządkowania zupełnie jednakowych atomów.

Niemniej zajmowano się i tym faktem, że ze zmianą temperatury zmienia się i widmo; występują nowe linie, niektóre z dawnych nikną; albo nawet objawia się bardzo ciekawa przemiana widma wstęgowego na inne z liniami ostremi w nieregularnych odstępach lub na określone, wyraźne, powtarzarzające się grupy linij. Pochodzi to prawdopodobnie z nowego rozczłonkowania, ale może ono nastąpić w molekularnej grupie atomów jednakowych i niekoniecznie już fakt ten uważać trzeba za rozczłonkowanie i nowe uporządkowanie atomów tylko podobnych.

Silniejszego nieco argumentu dostarczyły te fakty, które spektroskop odkrył w zjawisku świetlnej atmosfery słonecznej. Tu mamy sposobność obserwowania skutków takiego ciepła, jakiego najbardziej rozpalone piece nasze nie wydzielają, i takich ruchów, że w porównaniu z nimi orkany i cyklony ziemskie są łagodnymi zefirkami. Lockyer, badając pryzmatyczne widma świetlnych wyskoków i plam na słońcu, dostrzegał nieraz, że tego lub owego dnia wcale nie widać w nich pewnych linij (np. widma żelaza), gdy znowu innych dni znikają pewne inne linie, i tak bez końca widmo się zmienia. Zauważył dalej, że kiedy niekiedy pewne linie w widmie żelaza ukazują się zagięte lub odsunięte, co świadczy, iż para zostaje w nadzwyczaj szybkim ruchu, gdy spółcześnie inne linie są proste a więc stosunkowo zostają w spoczynku. Ponieważ zaś gaz nie może jednocześnie, na tem samem miejscu, poruszać się i być w spoczynku, przeto zdaje się, że oba szeregi linij muszą pochodzić z dwu odmiennych warstw atmosfery, jednej nad drugą, i Lockyer wnosi, że tu ciepło rozczłonkowało molekułę żelaza a różne jej składniki oddaliły się od siebie, bądź z powodu swej różnej lotności, bądź z innych przyczyn. Jestto, zdaniem Gladstone'a, najprostsze objaśnienie zjawiska a że ciepło bardzo często wywołuje dysocyacyę, objaśnienie więc to jest prawdopodobnem. Nie jest ono atoli jedynie możliwem, boć przecie różne warstwy atmosfery mogą być tylko skrajnym wynikiem tego, że ciała wysyłają lub wysyłać przestają różne promienie, gdy ich ciepłota rośnie a mianowicie gdy przechodzą z ciekłego stanu skupienia w gazowy. Jeżeli zaś i skład chemiczny obu warstw atmosfery jest różny, to wiadomo, jak dalece przymieszka jednego obcego ciała może częstokroć zmienić jasne widmo.

Co do wag atomowych, to niektóre ich właściwości wiążą się ze sprawą, która nas tu zajmuje. Dumas zwrócił uwagę już 1851 r., że w wielu wypadkach pierwiastki podobne tworzą grupy trójkowe, w których średni ma wagę atomową średnią i wiele innych własności fizycznych pośrednich. Przy roztrząsaniu tego szczegółu i później przekonano się, że nietylko trójkowe takie grupy istnieją, ale że jest kilka szeregów pierwiastków podobnych o atomowych wagach różniących się pewnymi przyrostkami tak, iż te przyrostki są najczęściej iloczynami z liczby 8. Tak np. ciężar atomowy litu jest 7; sodu 23 t. j. $7 + 16$; potasu 39 t. j. $7 + (16.2)$ a nowo odkrytych metali podobnych rubidu 85 t. j. prawie $7 + (16.5)$ i ceru 133 t. j, prawie $7 + (16.8)$. Przypomina to chemię organiczną, w której istnieją takie szeregi ciał podobnych, odgrywających rolę metali, jak: wodor, metyl, etyl itp., które się różnią przyrostkiem o wadze atomowej 14 czyli przyrostkiem CH_2. Prócz tego są znowu pierwiastki o wagach atomowych prawie jednakowych lab prawie wielokrotnych, czego przykłady spotykamy w wielkich grupach platyny i ceru. Ta nam tłomaczy analogię ciał izomerycznych i polimerycznych. Co jeszcze przytem jest ciekawem, to okoliczność, że na powierzchni ziemi znajdują się zwykle różne ciała z jednej takiej grupy jak wspomniana w pewnych określonych punktach i nigdzie więcej. Chemik więc, pamiętając dobrze, jakim sposobem przy destylacyi niektórych ciał organicznych otrzymał mieszaninę polimeryzowanych węglowodorów, mimowoli przypuszcza, iż w procesie tworzenia się grupp platyny i ceru, jakkolwiek i kiedykolwiekby się ten procces odbywał, różne pierwiastki powstały jedne z drugich i zupełnie się spolimeryzowały.

Ale wagi atomowe przedstawiają pewne właściwości, które się jeszcze bardziej dają uogólnić. Newlands wykazał, że porządkując ich liczby szeregami dostrzega się szczególne podobieństwo między oktawami, i na tej zasadzie ułożył prof. Mendelejew swoją znaną tablicę. W tablicy tej wagi atomowe są ustawione rzędami poziomymi i pionowymi; w pionowych różnią się przeważnie jedne od drugich wspomnionemi wielokrotnościami liczby 8 a mianowicie 16, 16, 24, 24, 24, 32, 32 a pierwiastki są zwykle podobne pod względem atomowości i innych cech chemicznych. Obok pierwiastków są umieszczone figury wyobrażające różne własności fizyczne, i te w rzędach poziomych przedstawiają są jako peryodyczne funkcye wag atomowych. Tablica nie jest dokładną, zwłaszcza w swej dolnej części, ale mimo to wypowiada ona wielką prawdę przyrody. Jeżeli jednak zechcemy interpolować w niej ciała złożone, które się zachowują tak jak podobne pierwiastki, mianowicie metyl 15, amonia 18, cyna 26, to będą one tam zupełnie na obcem dla siebie miejscu i popsują szeregowe następstwa zarówno analogii chemicznej jak peryodyczności cech fizycznych.

Nareszcie *co do specyficznego załamania światła*, wiadomo, że załamanie to dla wielu pierwiastków ściśle wyznaczono i że jest ono cechą bardzo zasadniczą, właściwą im we wszystkich związkach, przynajmniej dopóty, dopóki się atomowość nie zmienia. Wstawiwszy do tablicy Mendelejewa liczby przedstawiające tę własność, spostrzeżemy, iż będą one się zmniejszały w rzędach pionowych prawie stale wraz z powiększaniem się wagi atomowej. Jeżeli zaś śledzimy wzrokiem rzędy poziome, lub, co jeszcze lepiej, gdy owe liczby wniesiemy do tablicy, w której Lothar Meyer graficznie okazał, że objętość cząsteczkowa jest funkcyą peryodyczną wag atomowych, to zobaczymy, że tworzą one szereg podobny, ale nie ze wszystkiem zgodny z tym szeregiem. Obserwacye nie są tu tak pełne i dokładne jak co do objętości cząsteczkowych, ale bądź co bądź fakt ilustrują dostatecznie, gdyż nie alkaliczne metale odpowiadają najwyższym wzniesieniom linij krzywych, lecz wodor, fosfor i siarka, tytan i wanad, selen i antymon. Otóż gdy i do tej tablicy wniesiemy specyficzne kąty załamania cyanu, amonii i metylu, zaraz spostrzeżemy, iż są to jakieś obce przybłędy, nie zostające w zgodzie z całą grupą pierwiastków.

Ale jest jeszcze jeden argument w tej sprawie, wysnuty z zachowania się światła. Równoważnik załamania światła związku chemicznego jest równy sumie refrakcyj jego składników a przy związkach organicznych na każdy przyrost CH_2 rośnie o jedną i tę samą wielkość (7,6). Należałoby stąd wnosić, że i co do różnych pierwiastków jednej grupy na każdy przyrost (16) wagi atomowej nastąpi jakiś prawidłowy przyrost równoważnika załamania. Tymczasem dzieje się zgoła inaczej; równoważnik załamania litu wynosi 3,8, sodu 4,8, potasu 8,1, rubidu 14, ceru 13,7. Tożsamo i co do szeregów, w których przyrost wagi atomowej nie bywa wielokrotnością 8, lecz np., jak w halogenach, wielokrotnością 4,5: równoważniki załamania są: chlor 9,9, brom 15,3, jod 24,5.

Równoważniki załamania ciał izomerycznych są zwykle identyczne a ciał polimerycznych proporcyonalne do ich wag atomowych. Między szeregami pierwiastków podobnych jednakowej lub prawie jednakowej wagi atomowej zachodzą pewne analogie: tak np. kobalt 10,8 a nikiel 10,4; żelazo 12,0 a mangan 12,2. Lecz o ile dotąd obserwacye wystarczają mamy słuszność wnosić, że gdy u metali wagi atomowe zostają w stosunku 2 : 1, to ich równoważniki załamania są daleko bliższe siebie, gdy tymczasem np. równoważnik siarki zamiast być dwa razy większym od równoważnika tlenu, jest co najmniej pięć razy odeń większy.

Z całego rozumowania powyższego oczywiście wypada, że radykały pierwiastków są co do istoty swej różne od radykałów związków chemicznych, jakkolwiek chemiczne działania jednych i drugich mogą być podobne.

Wszelako pozostaje jeszcze hypoteza o jakimś pra-pierwiastku, z którego inne powstały drogą przemienności. Mędrcy azyatyccy Chin, Indyj, uważali „błękitny eter“ za taki pierwotny element; według Talesa jest nim woda, według dr. Prout'a wodor. Dawniejsze poglądy się już przeżyły a co do wodoru, to przez ścisłe oznaczenie wag atomowych i ich związku z innemi cechami, „pra-pierwiastkowość“ jego stała się bardzo wątpliwą.

Nic nie stoi na zawadzie ogólnikowemu wyobrażeniu, iż dwa, trzy lub kilka dzisiejszych pierwiastków naszych różni się więcej formą niż substancyą a nawet, że wszystkie one w liczbie 70 są tylko odmianami jakiegoś jednego wspólnego pierwiastku; chemicznych jednak analogij brak do rozstrzygnięcia tej wątpliwości. Najprostszy krok, jaki na tej drodze zrobićbyśmy mogli, byłby, gdybyśmy mogli otrzymać dwa allotropowe stany jednego ciała, np. fosforu lub cyanu, stany takie, iżby one się odbijały na wszystkich swych odnośnych związkach chemicznych do tego stopnia, by żaden związek jednej formy nie mógł być zamieniony na związek formy drugiej. Z tego co dziś wiemy o allotropii i o zmianach atomowości nic można się prawie wcale takiego rezultatu spodziewać.

Jednakże osobliwe stosunki, jakie zachodzą między wagami atomowemi pierwiastków i różnemi właściwościami ich grupowania się, zniewalają nas bądź co bądź do przypuszczenia, że nie

są to jakieś ciała odrębne, stworzone całkiem niezależnie jedno od drugiego, lecz że owszem powstały i stały się tem, czem są, według jednego planu ogólnego. Miejmy nadzieję, że zwolna co raz to lepiej będziemy ten plan rozumieli; jeżeli wszakże dojdziemy kiedy do tego, że który z dziś uznanych pierwiastek zamienimy na inny lub który z nich rozdzielimy na dwie lub trzy różne między sobą postacie materyi, to chyba zapomocą jakiejś nowej, dotąd nieznanej metody analitycznej. P. Gladstone wielką rokuje przyszłość metodzie Crookes'a, polegającej na tem, że spektroskop bada widmo ciał fluoryzujących pod wpływem elektryczności w próżni. Na tej drodze po wielu hypotezach doszedł Crookes np. jak szeroko jest rozpowszechniony w przyrodzie metal yttr, dotąd za bardzo rzadki poczytany.

F. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zabawne. W nrze 6 *Prawdy* przedstawiliśmy walkę ekonomiczną w Anglii, podjętą przeciw tak zwanemu przez Tylora i Georgesa „monopolowi rolnemu.“ *Gazeta rolnicza*, która zawsze zabiera głos w kwestyach ekonomicznych z dobrą chęcią, ale nie zawsze z dostateczną wiedzą, zamieszcza przeciw nam następującą apostrofę: „Oryginalny artykuł: „Monopol rolny“ znajdujemy w nrze 6 *Prawdy*. Tym *monopolem* mają (!) być ogromne dobra lordów angielskich. Gdy w największej liczbie krajów stałego lądu Europy posiadłość ziemska coraz bardziej się rozdrabnia, w Anglii przeciwnie, zmierzać się zdaje *ku skoncentrowaniu w rękach kilkuset możnych rodzin*. Zdaniem preopinanta (?), ma to być „największą plagą“ Anglii. Zdanie to opiera się na *wielkiej nieznajomości* ogólnych zasad produkcyi rolniczej i obecnego jej stanu w świecie europejskim. Zniesienie ceł zbożowych, kolonizacya Ameryki i Australii, rozwój komunikacyj lądowych na wschodzie Europy, strąciły na podrzędne stanowisko gospodarstwo ziemiopłodowe na wyspach brytańskich, któremu sam klimat nie sprzyja. Gospodarstwo pastewno-przemysłowe, które coraz bardziej zajmuje jego miejsce, wymagając znacznego kapitału, a na razie mniejsze przynosząc intraty, rozdrobnieniu własności ziemskiej nie sprzyja. Rozwój przemysłu i obfitość kapitałów jeszcze bardziej redukują znaczenie małych właścicieli. Renta 2—3% wystarczając na zbytki milionera, dla skromnego kapitalisty jest prawie głodem. Są posiadłości, które przynoszą zaledwie 1% i mniej. W takich warunkach własność ziemska jest zbytkiem, którego chyba lord lub jaki bankier pozwolić sobie może. Masy sił roboczych i drobnych kapitałów zużytkować się muszą w przemyśle i procederach ludności miejskiej właściwych. Anglia zamienia się na aglomerat wielkich miast, z których Londyn przewyższa ludnością niejedno z królestw stałego lądu Europy. Jest to wielka rewolucya socyalna, ale odbywająca się *bez wylewu krwi*, stopniowo, spokojnie, choć oczywiście nie bez krzyków demagogii, której jednak wysoka cywilizacya i prawdziwy liberalizm mniej ma powodu obawiać się, niż brutalny absolutyzm rządów, bądź prawowitych, bądź rewolucyjnych stałego lądu.“ Z tych uwag okazuje się tylko „wielka nieznajomość“ w *Gazecie rolniczej* następujących faktów: 1) że „monopolem rolnym“ nazwała koncentrowanie posiadłości ziemskiej w niewielu rękach nie *Prawda*, ale ekonomiści angielscy i pisma londyńskie; 2) że ono ostatecznie jest monopolem, bez względu na to, jaką ziemia daje rentę; 3) że owa renta jest tylko niską w stosunku do stop procentowych u nas; 4) że skupienie ziemi w wielkie obszary wytworzyło masę nieużytków i obniżyło dochody gospodarstw; 5) że domagający się wywłaszczenia lordów nie pożądają ziemi *wyłącznie* dla uprawy zboża; 6) że wogóle „oryginalny artykulik“ *Gazety rolniczej* (pomijając zabawną „rewolucyę socyalną *bez rozlewu krwi*“ tam, gdzie ta krew ciągle płynie) ma taki związek z naszym, jak gdyby przez omyłkę drukarską został z nim połączony. Walka się toczy o „monopol rolny,“ więc musimy mówić o „monopolu rolnym“ — to jest równie prostem, jak sprawozdanie z *Don Juana*, gdy grano *Don Juana*.

Z prasy. W Drohobyczu w Galicyi zaczęła wychodzić *Gazeta naddniestrzańska*, dwutygodnik treści polityczno-ekonomicznej w języku polskim i ruśińskim. Ma to być organ wybitnie demokratyczny.

— *Nowoje Wremia* zostało zabronione w Bułgaryi.

Nowe cło będzie podobno nałożone na kartofle sprowadzane z zagranicy. Według obliczeń urzędowych, poczynionych z racyi tego projektu, pokazuje się, że do Królestwa wchodzi rocznie z Prus 2,000,000 worków kartofli.

Studenci warszawskiego uniwersytetu, usunięci z powodu zeszłorocznych rozruchów, z decyzyi władzy uniwersyteckiej mogą być przyjęci jeszcze w tym roku i dopuszczeni do egzaminu. Z ulgi tej wszakże korzystają tylko ci, którzy zostali wydaleni na rok, albo z prawem wstąpienia do innego uniwersytetu (3 i 4 kategorye). Przyjmowanie nastąpi od 12 maja (30 kwietnia).

Sprawy kolejowe. Komitet ministrów uchwalił, iżby długość linij dróg żelaznych budowanych kosztem skarbu nie przechodziła rocznie 1200 wiorst.

Kraszewski otrzymał w tych dniach akt oskarżenia.

Politechnika w Rydze liczy 640 studentów, między nimi 250 polaków. W r. b. ukończyło kurs 67, polaków 29, z nich większość otrzymała t. z. dyplom pochwalny.

Stare listy. W Dynaburgu wypadkowo znaleziono całą pakę listów, pisanych przez najwybitniejszych uczestników powstania 1864 roku. Papierów tych nie złożono w archiwum, jak donosiły poprzednio gazety rosyjskie, „ale przesłano je komu należy i sprawa otrzymała właściwy kierunek“ — jak oświadcza gubernator witebski.

Szkoły. Dziewięć szkół nowych niedzielno-rzemieślniczych postanowiono założyć w Warszawie: 6 dwu- i 3 jednoklasowe. Mieścić się one będą w lokalach szkół elementarnych.

Koncerty Sarasatego pomimo ostatnich dni karnawału udały się świetnie. Urozmaicony program uwydatnił wszystkie strony tego potężnego talentu, który publiczność poznała już zresztą z poprzednich występów. Nawet mazurka grał, jak powiada jedna z gazet, niby prawdziwy *mazowszanin* (terminologia z podręcznika p. Iłowajskiego).

Germanizacya Poznańskiego. P. E. Bergmann, niemiec urodzony w Rosyi, wydał świeżo dzieło p. t. *Zur Geschichte der Entwickelung deutscher, polnischer und judischer Bevölkerung in der provinz Posen*. Pomimo, że opiera się przeważnie na dokumentach urzędowych, rzecz całą traktuje sumiennie. Wykazuje on stronność dotychczasowych obliczeń i z umiejętnego zestawienia cyfr stara się wyciągnąć przybliżone dane. W r. 1871 ludność polska wynosiła 951,000 w ogólnej cyfrze 1,568,090 mieszkańców. W ciągu ostatniego dziesięciolecia procent niemców w obu obwodach: poznańskim i bydgoskim zamiast wzrosnąć zmniejszył się nieco. Wskazuje to, że germanizacya doszedłszy do kulminacyjnego punktu, nie posuwa się dalej. Ziemia tylko wymyka się z polskich rąk; w r. 1880 polscy właściciele posiadali 1,373,600 hektarów, niemcy zaś o 500 hektarów więcej. Ale to już chyba nie wina polskiego chłopa, który dowiódł, że poczucie narodowości posiada i nie niemczy się, ziemi jednak utrzymać nie może, bo sam ma jej mało, a pieniędzy jeszcze mniej.

Nowy bank. W Petersburgu pod prezydencyą gen. Żylińskiego obraduje komisya, mająca opracować ustawę dla banku państwowego, udzielającego właścicielom dóbr i gminom pożyczek na osuszenie błot i ulepszenie nieużytków. Spłata ich rozłożoną będzie na raty.

Protest. Członek komisyi biegłych, obradującej w Petersburgu nad taryfą celną p. Skalkowskij wystąpił — jak donoszą gazety rosyjskie — z protestem przeciw mowom, wygłaszanym w języku francuskim przez warszawskich przemysłowców. Wtedy zaczęli niektórzy mówić po polsku a drudzy tłomaczyć ich słowa—p. Skalkowskij, rozumie się, znowu zaprotestował.

Dziennikarstwo angielskie W zjednoczonem Królestwie wychodzi 2015 czasopism; z tego przypada na Anglię 1578, Walię 80, Szkocyę 181, Irlandyę 156, wyspy 20. W samem Londynie jest 401 pism. Miesięczników i kwartalników — 1280.

Akademia paryska wybrała na miejsce opróżnione Lessepsa i Fr. Coppeé.

Bibliografia francuska. Ojciec Didon napisał książkę *O niemcach* a właściwie o uniwersytetach niemieckich, która jest w Paryżu chciwie rozkupywaną, chociaż zawiera wiele sądów powierzchownych.

Intryga. W *Nouvelle Revue* ukazał się przed kilku miesiącami złośliwy artykuł „O dworskiem towarzystwie berlińskim,“ podpisany pseudonymem Vassili. Najprzód podejrzywano, że autorem jego jest Guy de Maupassant, później, że pani Nowikow; oba jednak te domysły okazały się mylne. Zgadywanie trwa dotąd a pani Adam cieszy się mocno z intrygi. Może dla reklamy rozpuszczono wieść, że książę Bismark wysłał do Paryża dwóch agentów policyjnych dla wykrycia autora.

OFIARY.

Dla studentek polek w Petersburgu. Studenci rs. 30 k. 50, K. M. rs. 2.

DLA ABONENTÓW „PRAWDY"

Następujące książki prenumeratorowie *Prawdy* nabywać mogą za zniżoną do ²/₃ *w nawiasach* podaną cenę. Nabywcy z prowincyi na pokrycie kosztów przesyłki płacą cenę katalogową, obok umieszczoną.

Do nieznajomej, nowelle z rękopisu znalezionego, przepisał Leopold Mejet, tom I (80) 1.20
Matki i karmicielki. Napisał Antoni Skórkowski (z Medowatej na Ukrainie) (20) 30
O blednicy. Wykład popularny na użytek publiczności nielekarskiej, przystępnie opracował prof. dr. Łuczkiewicz (40) 60
O żydach i kwestyi żydowskiej przez Elizę Orzeszkową. Wilno, 1882 (45) 70
Patryotyzm i kosmopolityzm, studyum społeczne Elizy Orzeszkowej (80) 1.20
W ozdobnej oprawie (1.20) 1.80
Pierwszy krok nauki systematycznej dla nauczycieli i wychowawców, ułożył H. Wernic. Wilno 1883 (1.—) 1.50
Poezya w wychowaniu przez dra Piotra Chmielowskiego (20) 30
Pokociło się i dam nogę, scena z życia dwu braci p. E. Orzeszkową (20) 30
Poradnik dla osób wybierających książki dla dzieci i młodzieży p. J. Karłowicza (25) 40
Przesądy wychowania, studyum pedagogiczne przez W. Marrené Morzkowską (80) 1.20
Sąd honorowy, komedya w 5-ciu aktach przez E. Lubowskiego (60) 90
Sylwek Cmentarnik, powieść przez Elizę Orzeszkową (1 20) 1.80
Studya nie z natury p. W. Spasowicza. Wł. Syrokomla. Marcin Matusiewicz jako pamiętnikarz. W. Pol jako poeta, Szekspirowska historya tragiczna o królewiczu duńskim Hamlecie (1.—) 1.50
Typy i obrazki krakowskie nowelle p. M. Bałuckiego (90) 1.35
Wady naszych sadów p. E. Jankowskiego (20) 30
Widma, powieść p. E. Orzeszkową (40) 60
Wł. Syrokomla, studyum literackie p. W. Kościałkowską (35) 50
Z przeszłości, fragmenta dramatyczne (Hypatya, Wesaliusz, Galileusz) (60) 90
W ozdobnej oprawie (90) 1.35

Również dla abonentów „Prawdy" zniżona cena słynnego dzieła Karola Darwina:

O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt, przełożył dr. Dobrski. Dzieło to ozdobione licznymi drzeworytami i światłodrukami. Cena rs. 3, dla abonentów *Prawdy* rs. 2, z przesyłką rs. 2 k. 50.

Nakładem Prawdy
wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena rs. 1. (wraz z przesyłką pocztową).

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Февраля 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.